1

L'ESCHOLIER



Paryż
6 grudnia 1900.

„Ach Helu" mówiła pani Pełczyńska, „naprawdę muszę ci przyznać, że jesteś grymaśna. Ma słuszność Bronia, dawno mi już to powtarza. Eh dziecko!"

„Mamo, Matuchno jedyna" ~~błagał~~ prosiła dziewczyna patrząc jej w oczy z serdeczną pieszczotą „moja mateńko, czyż ci nie wszystko jedno tu siedzieć czy w Rzymie. Pomyśl, mamusiu, Rzym, co tam cudów, co tam cudów! Przecież tak nie miałyśmy długo bawić w Paryżu, przyjechałyśmy na wystawę, mogłybyśmy jechać do domu."

„Ale przecież postanowiłyśmy tu zimę przebyć, tam Jankowski musi dom oporządzić, i tak wątpię czy do kwietnia gotów będzie — ach Boże mój, jaki z ~~tem~~ ~~tyle z tem~~ co to ma kłopotu.

„Widzisz, widzisz mamusiu, gdzieś musimy się gnieździć tymczasem, jedźmy do Rzymu, mnie już ten Paryż dokuczył."

„A ty nie grymasisz to z ciebie? Najpierw rwałaś się: jedźmy do Paryża, teraz znów jedźmy do Rzymu, co z tego będzie Helu!"

Zastanów się dziecko, przecież to koszt znaczny."

„Mamusiu, ja obliczyłam: tu płacimy dość drogo za naszą „pensję" — we Włoszech taniej, napewno taniej; mam nawet adres dała mi go druga ~~gospodyni~~ z listów ~~od osoby~~ dziennej o popatrzenia. Tylko ~~za drogę~~ podróż opłacić musisz, ale to dla Heli, mamusiu.

— Pani Pełczyńska popatrzyła chwilę na córkę, potem do białego jej czoła przyłożyła ~~swoje~~ usta. Dawała jej miłość swoją i pieszczoty. Może jej ustąpić i pewnie ustąpi, zrobi jak dziewczyna zechce, rzuci Paryż, wyjedzie do Rzymu. Zresztą Hela miała słuszność; zamieszkały chwilowo tu, tak samo i gdzie indziej mieszkać mogły. Ale te mała wręcz oczywiście grymaśna, czemu jej się Paryż nie podoba, tak im tu dobrze, mają w bliskiem sąsiedztwie panią i panny Turskie, przemiłe wcale miejsce, towarzystwo przyjemne. Przed dwoma miesiącami, pani Pełcz. nie wiedziała, że zimę całą w Paryżu spędzi; zabrały się z Helą i panną Lorońską na wystawę i ~~w tle~~ miały wracać do siebie

na Podole. Tymczasem Jankowski doniósł
telegraficznie, potem w liście szczegółowo
opisał, że ~~dach domu~~ spalił się dach domu
~~w tro~~ i że sprowadził majstrów do naprawy
i że w ~~domu~~ dworze teraz mieszkać nie można.
Jest tyle roboty, ~~że dopiero~~ a zima ~~do~~
~~wiele nie można~~ nadchodzi, ~~że~~ dopiero w Marcu lub
Kwietniu ~~dwór~~ dom gotów będzie na usługi
pani, tymczasem tysiąckrotnie się kłania
i po tysiąc razy przeprasza, ale on radzi,
aby pani czas ten przebyła w Warszawie,
jak w roku zeszłym, a może u pani
Grochowalskiej siostry pani w Krakowie.
Panią Peterzyńską i telegram i list
poczciwego Jankowskiego zmartwił bardzo
szkody tyle, tyle nowych kosztów! Cóż
~~zrobić~~ pocznę z sobą teraz! ~~Dotka~~ ~~Do tylu~~
Zeszłą zimę spędziły w Warszawie, ale
Hela jej nie lubi, zresztą spotkać by
~~tam~~ musiała znowu Karola, po co?
to, jej by było przykro. Nie zupełnie
pojmowała, czemu córka odmówiła Ka-
rolowi, ale gdy się już tak stało nie
trzeba ich na nowo (Łączyć ?) (z sobą.)

Hela go ~~tak~~ nie lubi. I tyle plotek w tej
Warszawie! Hela za swobodna, Hela ekscen-
trycznie się ubiera, Hela za głośno mówi!
Wszystko to dochodziło do macierzyńskich
uszu pani Petecz. i bolało ją bardzo ze-
względu na jedynaczkę. Bo tej jedynaczce
ona sama tak mało zarzucić mogła! Ona
zawsze pojmowała czego chce córka, ale
mało chciała, przecież ma ona swój rozu-
mek własny. – Więc Warszawa nie – po-
zostają Grochowalscy. Lecz do nich pani
Peterzyńska jechać nie chciała. Na parę
tygodni owszem, chętnie by odwiedziła
siostrę, dobrą, cichą Paulinkę, ale całej
zimy spędzić u nich nie może. Pan Gro-
chowalski rzeczywiście jest skąpy,
ma się wrażenie, że liczy kęsy, które
gość w domu jego do ust kładzie. Ta-
ki bogaty, a jednak ~~skąpy~~. nieużyty,
~~tak~~ nieużyty i skąpy. Jak on patrzył
nieżyczliwie na Helę, gdy ta wsiadała na
koń przed ich gankiem. Konie stały bezczy-
nnie w stajni, dziecko przywykło
do spacerów, więc chciała się przejechać.

A Grochowalski z taką złością patrzył
na mię, tak mruczał sam do siebie
tak jej, bratowej swojej pani Sędzyni też
niechętnie odpowiadał potem. Ona czuła,
że go ten koń, na kt. pocztowała Hela
gryzie! Gdyby niezżyty, — i nie lubi jej
jedynaczki. Otóż, one nie pojadą do
Michałowskiej na całą zimę, ~~wreszcie~~
Więc zostaje Warszawa... lecz i tam jechać
nie chce. Cóż robić, co robić? Po co się
spalił ten dach w Księżym Kaszenum nie
dopilnował domu, kiedy one wyjechały.
Och ten stary Jankowski! Poczciwy, to
poczciwy, ale niezdarny trochę. Ona go
zawsza tak prosi, aby zajrzał tu i tam
wszędzie potroszę, aby dopilnował, dopilnował.
Aż teraz sadz nie oczyścili w kominie i
dom bez dachu pozostał, a one nie mają
gdzie się podziać... Z ~~biedna~~ pani Sęd-
czyńska poszła ~~tez~~ ~~opowie~~ się zwierzyć
z trosk swoich pani Tarskiej dawnej zna-
jomej swej i sąsiadce, która ~~również~~ z cór-
kami i synem również na paryską wystawę
przybyła. Pani Tarska była energiczna

i prędka (?) w postanowieniach swoich.

„Pani kochana" rzekła wysłuchawszy opowiadania Pietrzyńskiej, „ja pani zaraz radę dam, naprawdę dobrą, ale wyśmienitą, zostańcie panie w Paryżu"

„Jakto?"

„Et tak, poco ~~macie~~ wracać do kraju, ~~gdzie~~ nie macie się ~~nawet~~ gdzie tam podziać, bo ani w domu, ani w Warszawie, ani u Grochowalskich. Otóż tu zostańcie. Będzie wam wygodnie, urządzić się można niedrogo i zawsze co Paryż to nie Warszawa. A zresztą tu dużo Polaków — można mieć towarzystwo, jeśli się go pragnie wśród swoich, są wystawy, teatry, ach jakie sklepy! — Dla młodej panny pobyt w Paryżu będzie bardzo korzystny, może się zapisać na ~~ten~~ jakie kursy, muzyki, czy literatury, czy śpiewu, tyle tu tego! Eh, to nawet będzie doskonale, niech ~~pani Pietrzyńska~~ zostanie, tak tak niech pani zostanie koniecznie!"

I Pani Turska gorąco namawiała sąsiadkę z Podola. Teraz i ona prawie

postanowiła pozostać na całą zimę w Paryżu. Trochę ją mąż do powrotu nagli, ale to nic, odpisze, że zostaje i basta. Jej Kamilcia i Klocia chcą koniecznie nauczyć się języka angielskiego, tem bo to modny język, wszystkie dobrze wychowane panny nim mówią, w Paryżu są podobno specjalne szkoły do nauczenia się angielskiego, więc zostanie. Niech się dziewczęta uczą, pobawią trochę wszak im się to należy. Mają tu ~~[illegible]~~ sporo nawet znajomych, często jeżdżą ~~na wyści~~ ~~w kółka~~ z państwem X. na wyścigi do Vincennes, w zimie urządzi się parę wieczorków skromnych, bardzo skromnych ale przyjemnych. Młodzież potrzebuje się zabawić, tyle ich, że użyją trochę, potem ~~dni~~ kiedy panny wyjdą za mąż — czekają na nie obowiązki... I pani Jurska rozwodzić się poczęła nad mnóstwem przykrości, które czekają kobietę w dalszej wędrówce jej życia.

„Pani kochana „zakonserwowana" zostaje tam w Paryżu prawda, ach co to za szczęście

Ja mówię, dziś jeszcze piszę do męża że pani ~~[illegible]~~ zamyśla całą zimę spędzić w Paryżu, i że ja również z dziećmi zostaję. Pani Petrzyńska nie wiedziała jeszcze jak zrobi. Postanowiła wezwać do narady pannę Brońcię i Helę. Razem rozstrzygną trudną sprawę. Panna Brońcia zgodzi się na pewno, ale Hela? co też ona powie? Hela tym razem była zdania pani Turskiej – ona nie znała Paryża, owszem chętnie go pozna, a do Warszawy na kilka miesięcy jechać nie chce, jeśli mają jechać ~~to~~ chyba do domu do ~~[illegible]~~ Księżyk, cóż szkodzi, że dach spalony, przecież zamieszkać można w oficynie, są tam trzy pokoiki. Na to panna Brońcia podniosła głos protestu.

„~~Proszę pani" rzekła do p. Petrzyńskiej~~

„Moja Helu wszak mama twoja do podobnych niewygód nie przywykła, jakże w trzech takich klitkach się pomieścić, zreszta wilgoci tam trochę, na twoje płuca... Teraz i pani Petrcz. uznała słuszność rozumowania panny Brońci; Niechże Bóg broni, aby Helę ~~[illegible]~~

wieźć do wilgotnej oficyny. Teraz jeszcze
z jesieni i na zimę całą. Dziecko drogie
a Twoje zdrowie, a twoje biedne płuca!
~~Pani Pet~~ płuca Heli były słabą stroną
pani Peter. Przed trzema laty dziewczynka
zaziębiła się mocno i dostała zapalenia
płuc. Życie jej było zagrożone i pani
Peter. przebywała straszne chwile, i po
wyzdrowieniu jedynaczki strzegła jej jak
oka w głowie, słyszała, że powtórne zapa
lenie jest groźniejsze, więc czyniła co
mogła tylko ~~aby~~ ~~córki~~ zdrowie córki
zabezpieczyć! — Ostatecznie stanęło na tem, że
panie zostają w Paryżu. Wszystkie trzy
były z postanowienia zadowolone. Pani
Peterzyńska uniknęła Warszawy, Grocho-
walskich i wilgotnej oficyny, — Pannie
Broni podobał się b. Paryż, Hela nie
znała go jeszcze, bo te trzy tygodnie,
kt. przebyły — włóczyły się ciągle ~~po~~
wystawie w towarzystwie Tutskich i
pary jeszcze znajomych z Kraju.
~~Panna Bronia jako najpraktyczniejsza~~
~~zajęła się m urządzeniem~~ Pani Peter.

upoważniła pannę Bronisię do wynalezienia mieszkania. Postanowiły zamieszkać w pensjonacie, było to najwygodniejsze i pewnie najtańsze, uniknęło się tylu nieprzewidzianych wydatków. Pani Tarska wskazała pensjonat przy ul. Vaugirard, utrzymywany przez bardzo poważną damę madame de Corniche. Panna Bronisia umówiła się o pokoje i cenę i panie Petczyńskie z hotelu przeniosły się na Vaugirard. Panna Bronisia była praktyczna, znała upodobania pań obu i wybrała dobrze. Upodobania ich znała i starała się im dogadzać, tak jak szczerze kochała obie. Ileż to lat spędziła z niemi? ~~W mniejsce~~ nie dziewiętnaście. Hela miała wtedy ~~two~~ trzy latka, panna ~~Bronisia~~ miała ich wtedy dwadzieścia sześć. A taka już była zmęczona życiem. Jako nauczycielka dla porządku Jadwigi zmieniła już kilka domów.

Dziś ma 22, ~~Panna Bro~~ gdy panna Bronisia po raz pierwszy w Krzyżykach stanęła. Przedtem już od lat szereg zajmowała

~~w świecie~~ (a na kuli ziemskiej w krajach polskich) stanowisko nauczycielki ~~do młodszy~~ do ~~p~~ dzieci „początkujących" ~~[illegible]~~. ~~Matki powiedzą jej swoje małe pociechy~~ ~~W kilku domach rodzinnych~~ ~~[illegible]~~ Już w trzech domach rodzinnych „początkujące" dzieci przebrnęły pod jej kierunkiem tajemnice abecadła, nauki o rzeczach, nawet (dwoje z nich poznało) odmianę czasownika, etc. i avoir po francusku. Co ~~prawda i dla niej i dla samej kierowniczki, obydwa te verbe~~ ~~które~~ Były to największe zdobycze wiedzy panny Broni owe cudzoziemskie ~~[illegible]~~ verbe, których niezrozumiały dla niej sposób przechodzenia form były, dlaczego pierwsza osoba i jeszcze druga ta es. ~~itd~~ ~~[illegible]~~ ~~trzecia~~ trzecia wreszcie liczby mnogiej ~~n. sommes~~ ils ont? Pytania te z początku nasuwały się pannie Broni, ~~potem~~ uspokoiła się jednak pod tym względem i z całą ufnością polegała na wskazówkach drukowanych Chapsala i Noëla, kt. na niechęć własną, a potrzebie ~~m~~ dziesiątków tysięcy ~~dzieci~~ mózgów dziecinnych wynaleźli słowną swoją metodę języka francuskiego. W tym stadjum rozwoju umysłowego w wieku lat 26 ciężko jednak bywało pannie Broni na świecie. Gorzki jest

chleb nauczycielki domowej w ogóle, lecz ta od po-
czątkujących potyka największe jego gorycze.
Przez grzeczność nazywają ją nauczycielką, lecz
jest to rzeczywiście „bona”, która oprócz kształ-
cenia kilkorga pupilów — ma mnóstwo innych
obowiązków do spełniania. Musi ~~rano~~ i zająć
się śniadaniem i podwieczorkiem, często wy-
ręczyć panią domu przy wydawaniu kucharce
składników na obiad, czasem powierzają jej
dozór nad ścierkami, które w ograniczonej liczbie
wydaje służbie odbierając od niej zużyte.
Niekiedy pan domu zwróci się z prośbą o przyszy-
cie guzika do rękawiczek, paltota lub nawet
mniej przyzwoitej części garderoby. Nauczy-
cielka do początkujących, quasi bona, prowadzi
uczniów swoich na spacery i czuwać musi nad
ich moralną i fizyczną istotą: moralną — gdyż
właśnie w tych chwilach obcowania z nimi
metodą poglądową ~~z~~ zaznajamia ich ze świa-
tem otaczającym, odpowiadając ~~im~~ na tysiączne
pytania podobnej treści: ~~panno~~ Broniu,
a czemu prosiątko nie ma piątej nogi,
lub, jak stąd daleko do nieba itd.
Z drugiej zaś strony p. Bronia lub podobne

jej stworzenie inteligentnych uczniów swoich
i uczennice musi przenosić, ~~gdy~~ przez kału-
że i rowy, ogarniać prąd pisania, czasem
brać na ręce, ~~kt~~ gdy „~~maleństwo~~" dość ciężkie skarży
się na zmęczenie. Wreszcie i etyczne oddzia-
łać na nie nie przestaje, przestrzegając przed
błotem, w kt. grzeczne dzieci nigdy nie
wchodzą. To fortel biednej ~~panny~~ ~~[illegible]~~ nauczycielki,
bo najczęściej ona sama musi zająć się
oczyszczeniem zabłoconego obuwia pupilów
swoich. – Panna Bronicia zakosztowała po-
dobnego życia, a że w dzieciństwie była
trochę psuta i pieszczona przez nieboszczkę
matkę swoją i że nadto obdarzona była wą-
tłem zdrowiem – po kilku latach uczuła
się niezmiernie zmęczona ~~pracą swoją~~ i ~~[illegible]~~
~~[illegible]~~ i rozczarowana do pracy swojej. Wtedy
właśnie poznała krewną pani Pełczyńskiej,
która po stracie męża poszukiwała panny
do towarzystwa. ~~ta~~ ~~Krewniaczka~~ zaproponowała
posadę p. Broni, która bez namysłu przy-
jęła, i w dni kilka przyjechała do Kaczyr-
ków. Pani Pełczyńska, młoda wdowa, dobra
była niezmiernie dla domowników swoich.

Wkrótce między nią i p. Bronią zapanowały jak najlepsze stosunki; a obie razem prześcigały się w miłości i pieszczotach dla małej Heli. Gdy dziewczynka podrosła, tak, że umysł jej zdolny był przyjąć pierwsze ziarna nauki, p. Brońcia zasiała w nie wiedzę swoją – ~~lecz tylko do~~ ograniczając się tylko do języka polskiego; gdyż tajemnice Noela i Chapsala udzielała jej sprowadzona z zagranicy Mlle Claire. Potem Helę oddano na pensję, – panna Brońcia nadal została towarzyszką pani Pełczyńskiej i trwało to ~~nie niezmiennie~~ ciągle. ~~i między niemi~~ zawsze ~~takie same dobre i serdeczne~~ tylko stosunki zmieniły się trochę. Panna Brońcia, ~~obdarzona od natury czynnym umysłem czynn~~ czynna i energiczna powoli ~~wzięła~~ rządy domu w Księżykach ~~z stat~~ wzięła w swoje ręce. Pani Pełczyńska rada była, gdy ~~różne~~ drobne kłopoty gospodarcze opuszczały ją potrosze, i wiedziała, że panna Brońcia podoła się lepiej niż sama gospodyni domu. Do panny Brońci przeszły więc rządy nad kuchnią, ogrodem, stawem, zaczęła się nawet interesować bardzo gospodarkę rolną, ~~wytężone dziedziny~~ lecz

tu stary Jankowski nie dopuścił jej wcale
i z pewną urazą panna Bronicia zgodzić się
musiała, że zdania jej nie słuchają ani
przy siejbie, ani przy żniwach lub ko-
paniu buraków. ~~A~~ Zawsze też czuła żal
pewien do rządcy, choć uznawała wszystkie
jego zalety, lecz w chwilach rozgoryczenia
opowiadała pani Pederyńskiej: „Ach ten
stary, czy panienka myśli, że on ma rzeczy-
wiście pojęcie o postępowej gospodarce?" Pra-
wdzie i p. Bronicia nie wielkie miała o
niej wyobrażenie, lecz czytając czasem książki
ogrodnicze i przeglądając encyklop. gospodarczą
- wyobrażała sobie, że ma wiele teoretycznej
wiedzy w tym kierunku i że w praktyce wy-
bornie umiałaby się wywiązać z zadania. Mu-
siała się jednak zadowolić próbami w ogrodzie
i ~~sadzie~~ ku wielkiemu utrapieniu ogrodni-
ka Marcina, który szczerze nie lubił panny
Broni i ~~przy cza~~ w czeladnej izbie na-
zywał ją „ta mała djablica." Panna Bronicia
pod względem ogrodnictwa miała się za b.
uczoną, kazała Marc. wedle swoich przepisów
podlewać kompostem szczepki, które od
tego pielęgnowania usychały, sama

szczepiła róże, które zawsze jednak dawały kwiaty głogu zamiast spodziewanych marechal nieli i innych wykwintnych gatunków. Panna Kr. mówiła, że ma nieszczęśliwe ręce, próbowała jednak ciągle i zawsze prawie bez skutku. Marcin ~~też~~ robił na swoją rękę doświadczenia (?) w ogrodzie, te udawały się zawsze. Panna Kronia w różnych kierunkach roztaczała swą działalność. Jednego roku zajmowała się specjalnie wyrobem kaszorów owcowych, które jej zdaniem miały zbyt w Warszawie, ~~kiedy indziej~~ ~~pewną~~ zimę spędzała na szczepieniu oświaty wśród ludzi w tym celu sprowadziła mnóstwo elementarzy wzorów kaligraficznych, którymi uszczęśliwiła całą starszą dworską, wreszcie zapałała uwielbieniem dla metody Kneippa, przeczytała całą jego książkę, wypiła mnóstwo ziół jego przepisu, kąpała się i myła zawzięcie i wszystkich bliźnich swoich przymusiła uzdrowić cudowną wodą.
Ta cała „praca" p. Kroni szczerze bawiła panią Potockińską, która lubiła tę dziwną postać starej panny, uwijającej się

wciąż po domu, snując coraz to nowe pro-
jekty. Zresztą ~~w~~ drobne ~~ste~~ codzienne swoje
obowiązki spełniała p. Leonicia z nadz-
wyczajną skrupulatnością i tylko chwile
~~wolne~~ zbywające poświęcała na tym lub
innym „pracom" które właśnie w tym cza-
sie wydawały się jedyne do urzeczywistnienia
Pani Pietrzyńska lubiła głośne czytanie
p. Leonicia czytając jej wiele — sama dość
nabrała wiadomości i miała się stąd za o-
wykształconą osobę. Rozprawiała chętnie
o literaturze, sztuce, nawet filozofji
miała w dodatku wielkie przeświadczenie
o własnej dystynkcji i umiejętności obco-
wania z ludźmi. W miarę jak jej lat przybywało
— wzrastały jej drobne słabostki i pretensje, wznosząc ~~stawia-~~
~~ła~~ się ~~coraz wyżej na piedestale, który sama sobie wy-~~
~~stawiła. Uważała zwykle, że należy do rodziny~~
~~Petcz. i ~~ ~~miała~~ jednocześnie w własnych oczach
wznosiła się coraz wyżej w sferze społecznej,
w której postawiło ją życie. Ojciec jej
nieboszczyk ze skromnego stanowiska ekonoma małego folwarku wzrósł
na stopień rządcy wielkiego klucza magna-
ckiego — Parantela matki sięgała do ~~głów~~

do rodów utytułowanych i trzymających
prym w arystokracji Podolskiej. Ona sama
Panna Browicia czuła się niejako skoligacona
z Pełczyńskimi i wymagała, aby wszyscy otaczający
czający Księżycki okazywali jej wiele szacunku.
~~W stosunku z samemi paniami zajmowała stano-~~
~~wisk~~ Sama Pani Pełcz. ulegała nieraz woli Panny
Browicii, radziła jej się często w sprawach majątkowych
ych, zwierzała ~~z nadziei~~ z marzeń o przyszłości
Meli. Zresztą pod tym względem godziły się
obie panie; obie tak serdecznie kochały jedy-
naczkę, że nie zawahałyby się przed żadnem
dla niej poświęceniem, choć Pani Pełcz. uczy-
niłaby to z uśmiechem rozkoszy, Panna
Browicia z pewnym pozorem niezadowolenia.
Ale w rzeczywistości ta ostatnia ~~tyle~~ miała
uczucia dla obydwu pań z Księżyków, że wszy-
stkie jej kaprysiki i wymagania znikały wobec
tego. Pani Pełcz. często kładła je na karb
staropanieństwa swej towarzyszki, lecz były
to przejawy tak często spotykane u [illegible]
kobiet, że gdyby nawet panna Browicia od
lat najmłodszych wyszła za mąż, miałaby
też same dziwactwa i upodobania. Są one tak

pospolite. Życie wspólne tak zbliżyło ~~wszystkie~~ obie starsze mieszkanki ~~ter~~ dworu w Księżym kątu, iż rzeczywiście uważały się za rodzinę (?), dzieliły swoje troski i radości, teraz podróżowały razem. Gdy więc pani Fedor. za poradą pani Jarskiej postanowiła zimę przebyć w Paryżu, została naturalnie i p. Szoneciä, trochę ~~wściekła~~ wyrzekliwa jak zwykle, w gruncie zadowolona jednak, że czas dłuższy spędzi „w świecie" paryskim. Zapragnęła skorzystać z pobytu swego, rzuciła się do „roboty jak mówiła, która tym razem przypadła na dziedzinę sztuki. Zwiedzała bezustannie muzea, skupywała stosy ~~kop~~ katalogów i fotografij, chodziła na wszelkie odczyty o sztuce. Przytem nie zaniedbywała wprawiać się w rozmowie francuskiej i każdego z kim tylko mogła zaczynała konwersację.

Hela nie chciała już Paryża, nie, nie
dość tych wystaw sklepowych, spacerów
po bulwarach, dość towarzystwa angiel-
skich miss przy śniadaniu i obiedzie
dość odwiedzin panien Tarskich z matką.
Przychodziły często, wbiegały na chwilę
pokazywały nowe kapelusze, suknie,
opowiadały o swoich sąsiadach i znajomych.
„Wiesz Helu, ten student, któregoś miała za
porządnego chłopca młodego, sprowadza
do siebie na noc dziewczyny des filles,
patrz taki ruchy, taki kapelusz;
o straszne rzeczy" Albo „nasza gospo-
dyni nie jest wcale de za jaką się
podaje, to zwykła Corniche nie
de Corniche, mówiła mi o tem właści-
cielka cukierni naprzeciwko." Czasem
chciały, aby Hela szła z niemi na spa-
cer do parku Bulońskiego, tam ~~chodz~~
spotkać można całą arystokrację
monde chic i kokoty. „Chodź Helusiu,
prosiły przecież Cię w Warszawie
pytać będą czyś była w bois de
Boulogne!" Przytem lubiły mężczyzn

nie być otoczone młodzieżą. Poznały
kilku studentów polaków, jakiegoś
malarza, jakiegoś hrabiego Galicyjskie-
go i manifestacyjnie otoczyły się z koła.
Hela nie znosiła t. towarzystwa
panien Turskich, jak mogła usu-
wała się od nich, udawała zajętą lub
zmęczoną, byle uwolnić się od ich obecno-
ści. „Jakaś ty dziwna Helu” mówi-
ła panna Bronicia. „Przecież one
jak wszystkie panny w ich wieku
lubią młodzież, zabawę.” Właśnie dla
tego, że były jak wszystkie inne
panienom ciężyły Heli, ach byle ich
tylko nie widzieć tych natrętnych
twarzy. Albo te angielki, które, Boże
jakie nudy. Jedna w ogrodzie zoologicz-
nym lepi lwa z gliny, druga ~~chodzi~~ ~~chodzi~~
chodzi na wykłady literatury francuskiej.
Panna Bronicia lubi je bardzo, uznając
towarzystwo obydwu miss za b. dy-
styngowane. A jakaż z niemi rozmo-
wa zajmująca. Mówią po francusku
jakby tępemi siekierkami rąbały
drewno!

„Très beau temps aujourd'hui" brzeć
zawsze jednako. Zdawało się Heli, że ta
artystka ~~jedzie~~ ~~fotografi~~ wypowie od czasu
do czasu przynajmniej jakieś zdanie ciekawe,
na nieszczęście była ona tak correct, że
wystąpowała nigdy z ram banalności.
Jakież one nudne powtarzała Hela. I
wszyscy w pensjonacie nudzili ją niezmiernie:
stara pani Fiche, która mieszkała
stale u pani de Corniche utrzymując się
z emerytury po mężu jakimś wyższym
wojskowym, o którym t. opowiadać lubiła.
„Gdyśmy byli młodzi, a to czas przeszły
bywała," mieliśmy w naszej posiadłości
wiejskiej trzy białe kozy, ot tak większe,
lub coś w tym rodzaju i tak bez końca.
Pan Herzberg, niemiec, sąsiad Heli przy
stole był chyba najbardziej zajmujący ze
wszystkich: nosił z sobą zawsze ~~dykcjo~~
~~na~~ słownik i choć sam mówił bardzo
niewiele chciał rozumieć każde słowo
wymawiane przez innych, bezustannie
więc otwierał gruby swój dykcjonarz
i szukał w nim niemieckiego równoważnika.

ka, — tymczasem ~~zaś wszystek rozum~~-
~~ny się zmieniać i pan Herzberg~~
napływały nowe nieznane wyrazy i
pan Herzberg nowym oddawał się po-
szukiwaniom. — I jeszcze ludzi
kilkoro mieszkało w pensjonacie. Scho-
dzili się wszyscy na dwa posiłki dzien-
ne i ~~także~~ zawsze sama młoda gnieździła się
w ich towarzystwie. Nie chcę tego,
nie chcę — myślała Hela, po co mi ~~te~~
~~obc~~ bezustannie obce twarze, takie
martwe, takie ~~same~~ ~~puste~~ obojętne ~~puste~~ tkwiące
pełne, nie chcę ich i tego Paryża,
co mi za ramy stały, ~~tego wszy~~=
~~stkich panach~~ życia, które tu pędzę.
Czegoś pragnę, rwę się ja żywa,
ja chcę ~~ja~~ że jest dal jakaś,
iść ku niej! Boże! Boże, byle
~~nie tu stać na miejscu~~ się ~~wyrwa~~-
~~ć ku czemu się zwała~~? tylko
z chwil, które przeżywam. Od lat naj-
młodszych ~~chyba~~ dręczyły ją dnie, które
przebywała. Pragnęła jutra, pragnęła
czegoś innego w tem, co jej okazało dotych-
czas.

jakichś skrzydeł i lotów, jakichś uniesień i porywów, może czarów niezmiernych. Czuła tęsknotę w sobie i pustkę ogromną bezbrzeżną. Co jej tę pustkę wypełni? W nieskończoności istnienia szukała treści jakiejś. Życie jej było takie szare, takie marne. ~~Wśród koleżanek naj~~

Jeszcze gdy małą była dziewczynką i po pięknych ~~ulicach~~ parku w Księżycach biegała — nagle znikała z oczu panny Bronci, zaszywała się w gęstwinę drzew i ~~krzaków~~ i czekała — czego? niewiadomego. — Razem, gdy ~~słońce~~ południowe słońce rozdawało wszystkie blaski swoje mała Hela biegła po zielonych trawnikach, rozżarzonych barwami, schylała się co chwila, drobną rączkę zanurzała w trawie. I wie[dz]iało tam poecie, jak klejnoty najdroższe. Myślała, że dobra wróżka z bajki rozsypała dla niej szmaty pereł i drogich kamieni kryształów świetlanych ~~zebrać je chciała~~ ~~wziąć~~ je chciała, wszystkie, wszystkie i z nich pałac zbudować śnieżny, po trawnikach biegła, schylała się,

~~Drobne~~ potłuczone 15

przynosiła — były to kawałki szkła
~~potłuczone~~ które służąca wyrzucała
z kredensu. „Panno Brosiu, czemu
to szkło ~~to~~ ~~tak~~ błyszczy zdaleka,
jak najcudniejsze ~~kryształy~~ klejnoty z bajki?
Panna Brosia wzruszała ramionami;
nie trzeba bajkom wierzyć Helenko
bajka ~~to tylko bajka~~ jest tylko dla zabawy
dzieci, ~~to nie prawda~~. — Wśród małych
koleżanek na pensji Hela czuła się obcą i ~~samotna~~
Chciała powrócić do domu, ~~wracała~~ po dwu
lekcjach, ~~to jednak jeszcze nie chciała wierzyć~~
~~że małe dziewczynki, co je otaczały w szkole~~
~~[illegible]. Że wszystkie małe dziewczynki~~
~~Czasem na pensji wśród małych towa-~~
~~rzyszek nie wiedziała co zrobić z sobą.~~
~~One uczyły się lekcji, bawiły w piłkę,~~
~~szły na przechadzkę. Hela była z niemi,~~
~~tak jak i one ale jej się zdawało, że~~
~~ona taka różne~~
Wśród małych towarzyszek na pensji Hela
nudziła się i tęskniła do domu. Nie
chciała bawić się z niemi w gry znane:
piłkę, chowanego, pragnęła wynaleźć

nową zabawę, zgromadzała koleżanki, ~~zaczy-
nała mi~~ opowiadała im swoje plany, ale
zabawa nie szła, towarzyszki odbiegały
od Heli śmiejąc się z jej ~~projektów~~ pomysłów. Uczyła
się mało, choć na wszystkiem ~~zdumno~~ zpo-
rzeniu panny Borońci nie zasługiwała nigdy
na nagrody. „~~Albo Hela~~ To przełożona nie
poznaje się na zdolnościach Heli" mówiła do
p. Leszczyńskiej, protegują teraz ~~bogate~~
córki bogatych przemysłowców jakaś Reinfeld dosta-
ła nagrodę, ~~Hela nie~~, kto wie nawet czy to
nie żydówka, a nasza Hela taka zdolna, taka
pracowita nie zasłużyła nawet na list pochwalny.
~~Hela przyzwyczaiła się na pensji, prosiła
matkę, by ją do domu wzięła, do Krzyżyk~~
Nie lubiła Hela pensji, marzyła o powrocie
do domu. Wszystkie jej koleżanki ~~również~~
mówiły o opuszczeniu zakładu: „Włożymy
długie sukienki, pójdziemy na pierwszy
bal, ach, jaka to rzecz cudna mazur, lub
kontredans z panem Stanisławem, czy Piotrem
jeś studentem z trzeciego kursu". Na
Helę przyszła kolej balów. Gdy miała
lat [illegible] wyjechały na zimę do Warszawy

Pani Lebcz-Kapmada stroje, panna Brońcia doradzała barwy, kroje; Helę ubierano w modne sukienki. Była ~~tera~~ kilka razy na wieczorach u znajomych, dwa razy na balu w salonach ~~Resursy~~, u siebie w domu tańczono także. ~~Jakie to wszystko mowe, jakie ciwosu jedwabku~~. Myślała z początku, że ją zabawa zajmie ~~bardzo~~; ~~wszystkie~~ jej koleżanki ~~rówieśnice~~ o balach ~~opowiadały~~, marzyły, opowiadały przejęte wspomnieniami wieczorków dla podlotków. Na pierwszym wieczorze nie wiedziała Hela co sądzić ma o zabawie. Ubrano ją pięknie, wprowadzono do oświetlonej, ~~ubranej~~ ~~zielonymi~~ roślinami kwiatami sali. Jakiś nastrój uroczysty, świąteczny, ludzie wykwintni, mnóstwo barw, świateł, kwiatów. Proszono ją ciągle do tańca, kilka razy słyszała pochlebne zdania o swym stroju, o swej twarzyczce. Było jej b. przyjemnie. Czuła, że uśmiecha się do wszystkich z całą szczerością zadowolenia, ~~kt. odczuwała~~. Od czasu do czasu przychodziła ucałować matkę, kt. patrzyła na nią rozpromie-

mono i szczęśliwa. Hela była taka strojna, tak
? się udał jej ten pierwszy debiut! Walce
polki, kontredans, potem kolacja, rozmowy
jakieś żywe, podniecone, lekkie, znowu
tańce, słyszała parę żartobliwych słówek,
widziała kilka par oczu patrzących na nią
z zajęciem, z jakąś [z jakiejś niezdecydowaną] sympatją – potem powrót
do domu, ~~przy~~ ~~świetle~~ i brzask słońca, co
mi zaglądał do okien karety. Było to Heli
jakoś dziwnie: ~~dobrze~~ [miło] i nie~~swo~~jako zarazem,
nie umiała odpowiedzieć matce, czy się
dobrze bawiła. Nastąpiły inne wieczory:
~~spotykała na nich to samo, zawsze to samo,~~
~~aż się sprzykrzyła zabawa. Tylko~~
jej znajome cieszyły się na myśl tańców, za-
bawy – ona nie odczuwała [już] przyjemności. ~~Tak~~
Nic nie spotykała nowego, toż samo co na
pierwszym występie, [swoim] czasem większą uprzej-
mość, więcej komplementów ze strony któ-
regoś z tancerzy, lecz to ją wszystko nudziło,
przykrzyło jej się, tamowało oddech (?).

~~„Mamo nie chcę pójdę dziś na bal" powie-~~
~~działa i pani Petrz. nie rozumiejąc tka-~~

~~przyjęcia swej jedynaczki~~

~~Już nie, z sali balowej nie wyjdzie~~ nie ~~całej już~~

Teraz Paryża już nie chce. Zrazu ~~zdawało jej~~ gdy się znalazła w tem wielkiem, nieznanem sobie mieście, zdawało jej się, że ~~przyjdzie~~ ku niej jakiś głos nieznany jakieś inne tajemnice, że życie jej wyjdzie z zwykłej swej drogi, że stanie się coś, czego ona przewidzieć nie może! Tak tęskniła za tem czemś nieuchwytnem, co zdawało jej się ~~w~~ znajdzie się w każdym dniu przyszłym, w każdej godzinie, która po tej ważniejszej nadejść miała. Zwierzyła się raz matce. „To nic, dziecko, ~~może~~ przejdzie ci z czasem, młodzi mają jakieś tęsknoty, starszym znikają z przed oczu". Jej nie znikały, coraz bardziej ~~odczu~~ czuła pustkę w sobie i całem pragnieniem serca jej stało się wypełnić ją.

„Przejdzie ci, gdy za mąż wyjdziesz," raz jeszcze powiedziała jej matka. Hela nagle jakby chłód jakiś względem

matki słuchała. ~~Dlacz~~ Czemu ona ~~tak~~ powiedziała?
A jednocześnie jakaś ciekawość ogarnęła
ją do tego faktu, że ona za mąż pójdzie,
wyjść może, że znajdzie się człowiek, co
ją kochać będzie, ona jego. O miłości
słyszała tyle, czytała tyle. Kto on? czy
go zna? Nie, nie, nie widziała go między
takiego wśród grona młodzieży, który ją
otaczał. A ten pan Karol, który jej się
w zeszłym roku oświadczył. Matka i krewni
mówili: „dobra partja", młode znajome
powtarzały: „ładny chłopak, miły człowiek".
Heli zrobiło się tak smutno na myśl, że
ten pan ~~nazwać by ją mógł swoją żoną~~ mógłby ją mieć, żoną ją swoją nazywać,
kochać ją.
Że przy słowach jego ledwie trzy powtórzył
myśląc odpowiedziała prędko: „nie, nie".
I nawet teraz nie chciała do Warszawy je-
chać, on powiedział matce, że czekać bę-
dzie na wybór panny Heleny, może pójdzie
z czasem na niego, kocha ją. „Kocha mnie
myślała ~~Hela~~. „ja nie, ja nawet nie
wiem jakby mogła miłość dla niego wy-
glądać." Zresztą ~~zapominała o~~ wkrótce
przestała ~~o nim~~ myśleć o nim, wyjś

chaty do Księżyków, potem do Paryża.
Ach ten Paryż, spodziewała się od miasta
tego wiele. Jak mało widziała dotąd w ży-
ciu, kilkanaście wiosek, Warszawę, parę
miast prowincjonalnych. O Paryżu słysza-
ła, czytała... ~~tu~~ życie tam mówiono żywsze,
ludzie inni. Z ciekawością z radością ~~i rad~~ wsia-
dała do wagonu, przebiegała kraj, wi-
działa krajobrazy, miasta. Ciekawa była
tej wystawy, na którą zjeżdżały się tysią-
ce, miliony prawie ludzi ze wszystkich
stron świata. ~~Chciała~~ Spodziewała się wiel-
kiego dla siebie zdumienia, wielu nie-
spodzianych wrażeń. Zobaczyła rzeczy wi-
dzie ~~nie~~ nieznane zdobycze przemysłu, do-
wiedziała się, że ~~są~~ istnieją obce dla niej
dotychczas światy nauki, sztuki. Ale
z tych dziedzin tajemniczych wystawa
~~w całości od~~kryć przed nią nie mogła,
a wkoło niej bezustannie, ciągle prze-
wijali się ~~dawni~~ ~~znani~~ ~~Ale~~ ~~ludzie~~, ~~naukę~~ ~~wi-~~
~~to~~ ~~spod~~ ~~dawniej~~ ~~już~~ znani ~~jej~~ już ~~tei~~
ludzi nudni powszedni, szukający ha-
łasu, zabawy, rozpraszający codzienne

swoje upodobania ~~z rozto~~ z pewnem wy-
rafinowaniem, pamiętającej o

~~Tu widziała~~ tu ludzi ~~z~~ mnóstwo z Polski z Warszawy,
~~dokoła~~; wśród kosmopolitycznego tłumu
~~spotykała~~ panowały takież same prawie jak
u nich upodobania, formy, zwyczaje.
Taka sama nuda wiała od nich, i czczość
i pustka i codzienne powszednie obracanie
się dokoła drobiazgów, dokoła malutkich osi,
po za średnicę których wyjść nie mogli czy
nie chcieli. Ale miary dla siebie nie znała
podobnej. Z mglistych marzeniach wyobra-
żała sobie własną drogę odskakującą daleko
od ścieżek utartych, gdzieś w górę, w za-
światy, w jakiś kraj niedostępny dla
nich dla wszystkich. Zdawało jej się,
że kraj taki istnieć musi, że ~~do tego~~
~~co~~ ci co w granice jego wejdą - nic z pospo-
litości nie mają w sobie, nie noszą szat
posklejanych z utartych słów, z codziennej
myśli. Jej świat! Taki piękny, gdzieś

~~w~~ położony ~~w~~ ~~porządku~~ w zaświatach, ~~gdzie~~
jakiś pełen majestatu i powagi, ~~tak~~ czasem
niedościgniony przez wielkie farby, czasem
skupiony w harmonji barw i kształtów.
Szukała go, znaleźć musi. Przecież
czuje, że po za tem życiem które pędzi
ona Hela Bełczyńska posażna jedynaczka
z Księżyckich, za tem życiem otaczającym
ją dokoła ludzi, — istnieć musi inny,
~~to inaczej~~ świat z tamte, jej wymarzone
jakiś wielki a nieznane, do którego z
gorączliwością wyciągała ręce. ~~Jak on~~
Więc myślała, że sen swój znajdzie
w Paryżu, — to ~~świat~~ kraj dla niej taki
obcy, nieznany. Jak odkryje miała ten
swój zakątek — nie wiedziała sama. Nie
zdawała sobie sprawy ani czego szuka,
ani w jaki sposób poszukiwania swoje
prowadzić miała. Tęskniła za czemś
więc tę tęsknotę zaspokoić pragnęła,
~~zapełnić~~ do jutra wyciągała ramiona
~~prosząc je o dar~~ o dar ją prosząc
dla siebie, czekając dnia tego. Już
nie zwierzała się matce. Czuła, że matka

[illegible]

jej nie zrozumie, bała się, że znowu o małżeństwie prawić będzie. O pannie Skrońskiej mowy nie było, ona zdawała się Heli czasem śmieszną, a w tym jej wymarzonym kraju miejsca dla śmieszności nie było. Były tam jakieś ognie i burze, były wzloty wysokie, były porywy serca i tchnienia wielkiego ducha. Czyż znalazła cokolwiek z tego w Paryżu? Uderzył ją ogrom miasta, jakaś siła leżąca w olbrzymim nagromadzeniu ludzi, czynów ich, życia. Tłumy płynące bulwarami, gnieżdżące się w tysiącach domów, pracujące, myślące, czujące. Gdyby zaprzęgli tylko razem wszyscy zdobyliby się na nieposkromioną, tryumfującą z mocy swojej siłę, siła ta prawie z przeznaczenia urągać by była zdolna. Zmogłaby naturę, aby tamy rozpędowi jej stawiała, [illegible], w ona to by niezwyciężoną wzniosła wysoką kolumnę, gdyby chciała zmieniłaby bieg wody szerokiej, nurtem każąc jej płynąć korytem ku miejscu
[illegible] morzu.

Tyle milionów ramion ludzkich, taka obfitość myśli, taka głębia uczucia! ~~Ale osoomi~~ ~~Ale~~ oszołomiła ją na razie ~~ta~~ wielkość. Weszła w nią. Przebiegała ulice, bulwary, parki, chciała ~~nie~~ poznać jak, jak powstaje to wszystko, tworzy się, działa; chciała ~~poznać~~ zobaczyć jakim jest ten kolos świata ~~jak~~ nauczyć się rozpoznawać treść jego. Miasto szeroko otwarte leżało przed nią; ~~z ciekawością oglądać je przez~~ ~~ta~~ na pozór nic ukrywać nie chciało przed jej wzrokiem. Szła ulicami, mijała jedne, w inne wchodziła. Gdzie, gdzie tkwi wreszcie moc jego. Gdzie przed oczyma jej odkryje się tajemnica siły ludzkiej, tajemnica ~~panowania ?~~ potęgi, tajemnica organizacji. Tam gdzieś na dalekim wschodzie, przed setkami wieków praca ludzka wzniosła piramidy kolosy, tu ona przed sobą widzi miasto-kolos i w nim pracowników jego. Szukała. ~~Przebiegała~~ ~~Przesuwała się~~ Mijała ulice, dzielnice. I widziała wciąż jedno. Domy ~~st~~ wielkie sześciopiętrowe pudła, pełne mieszkań ludzkich, na

Jedne przepychu pełne, wykwintne roztaczające bogactwo wytworów swoich, inne skromniejsze, wreszcie zupełnie skromne, przeznaczone dla zadośćuczynienia najniezbędniejszym potrzebom.

dowe sklepy, piekarnie, restauracje, mleczarnie. Ileż więcej; miasto jak zwykle, miasto tylko tak wielkie, jakgdyby z kilkunastu mniejszych się składało. Czasem pomnik jakiś, dzieło sztuki; gmach piękny, ozdobny kościół. Przystawała Hela, pytała ich gdzie geniusz twórczy. Gmachy milczały spowite w szarą jednostajność otaczających ~~je domów~~ kamienic, a okna mknęły wdal roztaczając przed okiem przechodnia przynętę wystaw: ciasta, wędliny, obuwie itd itd. Wnet pojmowała jaśniej. Jakże, to już wszystko, wszystko co olbrzym ten wziął w swe ramiona, ~~co~~ dumny wielkością swoją tysiące zdała. Biegną tłumy, mija ich setki, tysiące. Mówcie, dziecież razem wszyscy do walki stanąć, siły złączyć wasze, ~~życie~~ bój wytoczyć. A oni przyspieszonym krokiem dążą do codziennych zajęć do biur i fabryk ~~do pracy powolnej zabierającej siły jednostce~~ na posiłek lub wycieczkę po mieście. Biegną, każdy myślą swoją zaprzątnięty, każdy w własną wpatrzony drogę. I nie łączą się, że jak te drobne ziarna piasku na

pobrzeżu morskiem ~~rozsypujące~~
~~się usłożone (?) przy~~ leżące opodal sie-
bie przypadkiem, tak daleko od sie-
bie, gdy je wicher rozwiewa, lub gdy
je stopa ludzka porusza. A tej gra-
nitowej skały, któraby w jedności swojej
moc miała - nie widzi Hela, i zdaje jej
się, że ~~tem~~ olbrzymem Paryż z ogromu ~~ta-~~
~~ki swego~~ swój traci, że [widzi] jak inne miasta
mieszkaniem jest ludzkiem, a ludzie ci
~~to ludzie~~ zwykli, jak w świecie całym,
jak ona ich już na ~~świecie~~ poznała w tym
małym światku, z którego wyszła. Wten-
czas poczęło się jej przykrzyć w Paryżu
~~Krakowa~~ ~~dobaczyła~~ ~~że~~ ~~Poznała~~, ~~że~~ ~~kto~~
~~Poznała, że~~ ~~kto~~, ~~to wszystkie~~ [niepoznanego], olbrzymiego
miasta ~~nie~~ [nie] zaspokoiło jej ciekawości, nie
zadowoliło pragnień, że ~~kto to~~ ~~oczne~~ odczu-
~~cić trzeba i szukać tylko rysunku kto-~~
~~re się po niem przewijać mogą (?).~~
~~Zatrzymywała się przy gmachach, ko-~~
~~ściołach, zwiedzała muzea. Sztukę tam~~
~~Ta nie znała prawie, w zachwycie~~
~~patrzyła na~~

~~barwę~~ miało szarą, ~~kontur~~ kształty zwykłe powszednie. Więc wśród tej szarzyzny codziennej Hela szukać poczęła płomiennych ogni przebijających zasłonę powszedniości; zwiedzała ~~patrzeć~~ kościoły, gmachy, umiała patrzeć na sztukę ludzi przeszłych i żyjących, szukała ~~ich~~ myśli w ich tworach, śledziła za nieuchwytnem przejawiającem się w ich dziełach. — Sztuki nie znała dotychczas. Oparła się w opisach stylów, w podręcznikach architektury, malarstwa, rzeźby. Nie chciała książek pytać ~~jak~~ o nazwy i ~~tak~~ suche formuły, ~~sama do dzieł wchodziła to~~ nie zwierzała się pamięci treści z wycieczek swoich, zwiedzała bez planu i umiejętności, szła trochę na los szczęścia gdzie ją oczy poniosą, ~~zatrzymy~~ wchodziła do kościołów, czasem przystawała ~~na dłużej ogląda patrzyła zastanawiała~~ przy gmachu jakimś, co zdawał się przemawiać do jej wyobraźni. — Wyniosłe gotyckie sklepienia napełniały duszę jej dziwnemi marzeniami. Pięły się te łuki, ~~wzniesione ręką ludzką~~, biegły za myślą wyżej aż

jakąś nieuchwytną, za nimi mknęły
~~łagodne delikatne, przejrzyste prawie nie-~~
~~swoje~~ przyczeszone melodje, ~~śpiewy~~ [illegible] ~~nalecza-~~
~~na, samowolne, świadome siebie~~ ~~w górę~~
jak dymy pnące się w górę białe i przej-
rzyste, jak cudna koronka rozpięte
~~w górnej~~ w nieboprzeźnej przestrzeni. Dziś, ~~ogarnęła~~ straciła
wiarę, a w wierze tej ~~tej~~ była ~~wielka~~ niezłom-
czona, i umiejętność ~~wielka~~ z niej szła taka, że ~~co~~ z [illegible]
kamiennej opoki ~~wznosiła~~ wznieść ~~była~~ zdoła stworzyła drzewa kolumny
i sklepień i wież, ~~rzeźbiła~~ pnących się coraz
wyżej wbrew ~~znanym prawom~~ zwykłym,
wznanym prawom, przeciw życia codziennego ~~try-~~
~~czajom~~ kolejom, ~~faktom~~ ~~czerpiąca~~ szukająca w natchnieniu ~~swo-~~
jem prawdy jedynej, ~~poddająca się jej bez-~~
~~względnie~~. Szczęśliwa, gdy w wierze tej
tylko całą swoją ufność położyć mogła.
Albo ja buduję, ty panie świątynię
stawiasz sobie, zdawali się ~~rzyścić~~ mówić
~~oi~~ przed wiekami zgasli artyści, ~~co~~
~~po~~ których ~~ślady swoje~~ kos pozostały
[illegible] w niezwykłe szczyty. ~~wznosili~~ zbliżając się ku ~~któ-~~
~~rym~~ pragnęli ku niemu, więc coraz wyżej pięli się
w dziełach swoich...

Ilekroć stawała Hela przed gmachami poczętymi
z tchnienia świata starożytnego
~~w zachu [illegible]~~, gdy na ~~twórców~~ ~~[illegible] przy-~~
~~szedł wielki powiew [illegible] ducha~~ świata ~~Hellas~~ starożytnej,
~~[illegible]~~ był to czas ~~[illegible]~~, w którym człowiek ~~przychodził~~ doszedł do
świadomości samego siebie, i dłonią pewną
bez wahania i zwątpienia kreślił plany
dzieł swoich. Czuła, że w tych prostych,
poważnych kolumnach Panteonu, że w
~~tym~~ jasnym starożytnym ~~zakreślonym~~ śmiejącą się ~~[illegible]~~ cudownej
Magdaleny, ~~że~~ wola kierowała ręką
artysty. Prostota ta była przypadkową,
gdyby zapragnęli, stworzyliby dzieła
pełne ~~[illegible]~~ fantastycznych kształtów,
drobnych szczegółów, – lecz formę wybrali
prostą, bo ~~świadomość~~ szlachetni w świado-
mości swojej unikali ~~[illegible]~~ (?). ~~[illegible]~~
hałasu i zgiełku, ~~[illegible]~~ prostymi wyrazy
przemawiali do ludzkości.
W ~~murach~~ murów przebiegała Hela galerje, i zaczęła
uczyć się patrzeć na wielkich mistrzów świa-
ta, ~~badając ich~~ w nich szukając ~~tych krain~~
~~znanych jej marzeniem~~, gdzie

Gdyby chciał tylko ~~stworzyć~~ dzieła jego przybrać by mogło postać zło-żoną, rozwichrzyć się jak drzewa gałęzie, — wznieść ~~się~~ ku stropom jak skały odłam, lecz wola jego wśród kształtów wybrała takie, co ~~pewność~~ i ~~niewinność~~ co nieskalanemi liniami przecinały ~~tło~~ ziemi płaszczyznę, i nad jej poziomem ~~stanęło~~ ~~własną~~ granią zapo-~~za~~ kreśliły ~~wiecznie~~ sobie ~~płaszczyzną~~.

W prostocie tej była śmiałość i pewność ~~wielkości~~ siły własnej, która wśród ~~wspaniałych~~ tych pro-~~stot~~ ~~kształtów~~, wyobrażeń gorących

Czasem ~~szła~~ ~~tęga~~ ~~plo~~ przebłyskała tęskna ~~niezłożona~~ gałęzi Sałdów.

brała te co ~~wyo~~ ~~rozumem~~ kierować się zdały.

Hela przebiegała liczne galerje i sale
Luwru. Zrazu patrzyła ~~na~~ dzieła sztuki;
~~starając~~ starając się odnowić w pamięci
to wszystko co kiedyś czytała o nich w
książkach; przypominała sobie wiek
w kt. żyli artyści, szkołę do której
ich zaliczano, ~~zdawało jej się, że~~ krytyki
którym podlegali. Zobaczona tymi ~~stałaby~~ ~~oczami~~
~~wiadomości~~ ~~mocami~~ patrzeć chciała na dzieła ich
szukając treści. Tak czynili wszyscy,
może i ona tak czynić winna, sztuki
nie zna, wcale ~~nie~~ własnego sądu nie ma o niej.
~~Więc~~ Lecz wkrótce poczęła
Zrazu nie umiała dać sobie rady z olbrzy-
mim materjałem, który stawał przed jej
oczyma. Wieki, kraje, szkoły, rozmai-
tość taka, i ilość taka, że czuła się ~~zgu-~~
~~bioną~~ ~~mózg jej zgubi~~
Hela przebiegała niezliczone sale i galerje
Luwru. Patrzyły na nią ze ścian z przed-
statów swoich obrazy i rzeźby ~~zebrane~~
co powstawały w długim przeciągu
czasu, w krajach rozmaitych,

nak
sztuki;
ujęci
h w
nich
wej;
krytyki;
~~[illegible]~~
ch
ej;
tuki;
nej.

lbrzy
d jej
amai
s ~~[illegible]~~

zji
ede
sse

wróciłam

u pie

zostać z mar-
po działaniu
~~strasznie~~

mej z

wich.

~~formy, kiedy
przyczyny
umotywowanego
wydyby~~

[illegible]

~~Przyszła do Heli porozmawiać~~ sztuka. ~~Świat~~
~~zwykły świat~~ ~~bliżej swych drzwi~~
Przebiegała Hela niezliczone sale i galerje Luwru.
Z ram patrzyły na nią tysiące obrazów, na
podstawach ~~świeżo~~ stały tłumy posągów
rzeźb, nagromadzonych tu z krajów ~~najróż~~ wszystkich
~~najodleglejszych~~, wytworzonych w ciągu dale-
kich lub bliższych wieków przeszłości. ×
Jakaś nieziemska ~~nieznana~~ siła była wśród tych tworów,
jakiś duch nieznany dotychczas dziewczynie.
To świat inny, pełen objawień, ~~jasności~~
~~pełen~~ wyłaniających się nagle, niespodzianie
przed zdumionym wzrokiem ~~przed zdumionym wzrokiem~~ przechodnia.
Życie przeszło swoją, utartą koleją, a po
nad niem, ~~gdzieś w przestworzu jakby~~
~~w zwierciadlanej tafli wykwitały dziwne~~
~~rośliny — świata zwykłemu podobne,~~
~~a takie różne od niego~~ gdzieś jakby wśród
ciałoby jego, a jednak w innych granicach ~~odbiciu (świecące~~ jego
wykwitały, strzelistemi okrasy rozma-
wały się dusze artystów i ~~światy z siebie~~
~~promienne, niedoścignione~~; i z promieni świat ~~własny~~
~~tt~~ snuły świat ~~kraj~~ własny, ~~bliski a nie~~ nie-
uchwytny choć bliski, niby życia zwykłe-

× Helę porwał tłum myśli ~~wyłania~~ wyłaniających się z dzieł tych wszystkich (zagrało w niej od wewnątrz, ~~świadomość~~ pojęcia cisnęły się do mózgu, ~~serce~~ ogarniało.

mu podobny a tak od niego daleki jak ~~senna~~
~~senna mara~~, ~~daleka jest~~ od południowej godziny.
~~Tak~~ Więc to jest ~~[illegible]~~ świat sztuki! Tylu
istot ludzkich żyło w nim, i żyje; ~~napeł~~ ~~[illegible]~~ oddało
mu swoje dusze, myśli, czucia, kochało go
całą serca potęgą; ~~oderwał~~ ~~oderwali się oni~~
~~od istnienia ziemskiego – tamtemu ślubowało~~
~~siebie. Odeszli z niego tęskniąc takę, z zapomnie-~~
~~niem~~ [illegible] ~~do tych stron~~ Artyści, lud utkany
z snów i marzeń, ~~bo~~ w snach i do prawdy
więcej niż w ziemskiem życiu pokoleń całych
~~[illegible]~~ szli przed siebie i braciom ~~[illegible]~~ z ~~[illegible]~~ stworzonych z duszy
i ciała rzucali żniwo swoje; ~~dodatek~~ geniu-
~~sza swego~~ wszystko co niewchwytnego
tajemniczem ująć zdołali, wszystko ~~co~~ ze
~~snów~~ z marzeń przelotnych swoich ~~w~~ spłakali w marmu-
ry i bronzy [illegible] wyrazili na płótnie.
~~[illegible] przed oczy śmiertelnika kładę.~~
~~Widzi ich [illegible]. Przed [illegible]~~
~~[illegible] ogromny tłum myśli [illegible]~~ wyzierające;
~~[illegible] od tych~~ z dzieł tych wszystkich wszystkich
zagrało w niej od wrażeń, – ~~jakieś~~ oderwie
~~i potem świadomość [illegible]~~
~~i przed oczy śmiertelnika kładę.~~ —
~~Ten ich świat zjawia [illegible]: [illegible].~~

i przed oczy śmiertelnika kładę.

~~[illegible]~~.

Oni sami, twórcy, wiedzą ~~tylko~~ jedynie ile (~~bólu i~~ gorszego? ~~[illegible]~~
i roskoszy promiennej ~~promiennego~~ i szalonego szczęścia
wlali w dzieła swoje. Włożyli w nie wszystko
co lepszego ich życie miało, z życia ~~swojego~~ strącone? zdjęli
szaty i ~~przyozdobili~~ zdarli ozdoby ~~wszystkie~~ ~~niemi~~ i ~~kamienie~~.

Więc to jest sztuka? Kraina cudowna, otwierająca
wrota swoje przed wybranymi, kraina uczucia
i szczęścia, rozkoszy i męki, kraina
błogosławiona, w której z bólu i łez tak
samo jak ze śpiewów radosnych wyrastają
najwspanialsze kwiaty piękności, a głębią
ich dusza artysty.

Oczy Heli zapłonęły się ~~[illegible]~~ wszystkimi blaskami.
Mam cię upragniona krainę marzeń, ~~mój~~
~~moja~~, przeczucia wszystkie moje, mój ~~najgorętsze~~ ~~[illegible]~~
pragnienia, tęsknoty serdeczne!

~~Zrobiło jej się dobrze,~~
~~Żyć jej się~~ Pić chciała u źródła tych
czarów, widzieć wszystko, wszystko
odczuć.

Wtedy zapragnęła poznać Włochy, którym?
Wiedziała, że matka uczyni jako ~~ona~~
Hela zechce. Matka jej zawsze ustępowa-

wada we wszystkiem. Dobra, cicha,
~~nie~~ cieniowi podobna prawie. Kochać umia-
ła Helę, dawniej kochała męża — przedtem
może rodziców; to była cała treść jej życia.
Przywiązanie ciche, ślepe, bez granic;
bez szkód, — przywiązanie wielu ~~ma~~ serc ma-
cierzyńskich. To szczęście ich całe, to cały
świat dla nich, to ~~koniec~~ kres ich marzeń,
~~to~~ jeśli marzenia były kiedy. ~~Do takie serca~~
~~w dał nie wyrzekać pragnień swoich~~.
~~Pani Po~~ Hela wiedziała, że wola jej ~~wszystko~~
~~u matki~~ ~~ma~~ zawsze przeważy u matki, i
teraz przeważyła, podróż do Rzymu stała
się rzeczą pewną. Tylko pani Borowicz
uważała za właściwe sprzeciwiać się zra-
zu. Na co, po co, dla czego? "Siedzimy
w Paryżu tak dobrze + jesteśmy, Hela
ma towarzystwo, ma rozrywki wła-
ściwe dla niej, jeśli chce może brać
lekcje rysunków, malować na porcelanie,
wypalać w drzewie" Wreszcie dała się
przekonać. W rzeczywistości rada była, że
znowu kawał świata zobaczy, a sprzeci-
wiała się jedynie ~~z zasady~~, ~~aby H.~~ aby

zdanie własne wykazać, ~~aby~~ od ~~tak~~ zwięcej
z przy~~z~~wyczajenia.
Trzeba się było żegnać z Pawskimi, z różnymi ludźmi, których się w Paryżu poznało.
„Jakto, wyjeżdżacie" wołała mama Turska, „a nasze zamierzone zabawy w karnawale, a teatr amatorski, o kt. myśleliśmy. Otóż zostało, brzydko Helu, moje panny myślą już o ~~za~~ pracy i strojach:
„Otóż ja każę zrobić sobie różowe sukienkę garodęz na jedwabnym spodzie; bluzka różowa, aksamitny czarny pasek ~~żorna~~. Najbardziej będzie miała zieloną ~~białą~~, ale nie zdaje mi się, aby jej do twarzy było, ma płeć żółtawą!" I posypały się nowiny o strojach. Ach te gadanki! Dały się we znaki Heli. Wychowana wśród grona kobiet, w którąkolwiek bądź zwróciła się stronę słyszała: kapelusz, krawcowa, szlarki, falbanki i tak bez końca. Rozpacz ją brała słuchając ile godzin trawiły jej znajome przyjaciółki, matka na przymierzanie, dobieranie, obmyślanie, kre-

powanie. Widziała jakie skarby błysz-
ły w oczach kobiecych na widok jedwabi,
wstążek, klejnotów. ~~Przypominała sobie~~
~~sto~~ Ileż one godzin zdolne były naradzać
się z krawcową, ~~szukać po sklepach wiele~~
~~ile~~ i jak umiały biegać po sklepach dobiera-
jąc do próbki pół metra materjału,
czy wstążki. Ta w Paryżu może mody ję-
~~tworzało~~. ~~Kobiety jedna w drugą~~ obłędo.
Wszystkie te Paryżanki kochały stroje,
tworzyły je, ~~umiały je nosić. Żadna pan-~~
~~nek przybierać w nich~~ kształty odrażające
~~ciał~~ ubierały się w nie. Ileż wstyd
było za kobiety. Czemu, już poniżone, poni-
żej idą same. To biedne ciało swoje,
które całą ich wartość stanowi w oczach
mężczyzn — przyozdobić chcą, wysta-
wić w najpiękniejszem świetle. Mężczy-
zna patrzy na kobietę i szuka w niej
czy znajdzie u niej zaspokojenia żądz
swoich! Nędza, poniżenie, przekleństwo!
A kobieta, zamiast wzbić się ponad
żądze i pragnienia cielesne — poddaje
im się z uśmiechem rozkoszy przyj[illegible]

ciało swoje i każdym ruchem, każdym fałdem wykwintnego ubrania mówi: masz mnie, bierz, dla ciebie chcę być piękną tylko. Nic więcej: mam ciało - bierz ciało moje; przystrojone w zabawki czeka na ciebie wonne, ~~przystrojone~~ otoczone w bardzo dobranym szeleszczącym jedwabiem, ujęte miękkością aksamitów. ~~Gdy~~ Nic więcej: ~~Ciał~~,

Widziała te ~~drobne~~ wdzięczne twarze kobiece pochylone z lubością nad stosami materjałów. Drobne ich ręce nurzały się z jakąś rozkoszą prawie zmysłową w ~~tych~~ ~~fał~~ falach koronek i wstążek; uśmiech wybiegał im na twarze, oko z ożywieniem patrzyło, wyraz inteligencji twarz całą rozjaśniał. W sklepie, u modniarek, krawczyń przeobrażały się te kobiece postacie, czuło się, — że znajdowały się w własnym świecie, który kochały, którego każdy zakątek był im znany i przynosił im spodziewaną uciechę. ~~Nie~~ Były ~~to~~ bohaterki, ~~monarch~~ władczynie, królowe w tym specjalnym światku.

~~Wszystkie~~ Wszelkie nowe zajęcia, upodo-
bania, obowiązki ustępowały na bok,
miejsce zostawało opróżnione dla wszech-
władnej mody, dla stroju. Ot jakiż
uśmiech rozchylał im usta gdy oglą-
dały w lustrze nowy stanik, z którego
zręczna krawcowa usunęła wszystkie
fałdy. — czuły się na chwilę wyjątkowo
szczęśliwe w pięknym stroju, z jakimś
błyszczącem cackiem wpiętem we włosy
lub zawieszonem na szyi. Przytem
dzieci, myślała Hela, nie to ludzie,
ludzie, może na wpół tylko jeszcze,
kobiety. Boże jak ją bolały te upo-
dobania. Gdziekolwiek się zwróciła
spotykała się z niemi: Młode jej ko-
leżanki od lat najwcześniejszych przepa-
dały za wstążkami, ozdobny fartuszek
budził w nich ~~podziw~~, zachwyt prawdziwy
W domu matka mówiła zawsze, że ładny
strój piękny, i chce aby Hela była
zawsze gustownie ubrana. Więc od naj-
młodszych lat panna szwaczka krajała,
szyła, przymierzała suknie dla „panienki

Potem zwrócono się do pierwszych maga-
zynów mód. Hela przeglądała zaraz żurna-
le, słuchała co mówi krawcowa, matka,
~~jak~~ przydała jak wyglądać będzie sukien-
~~ka po zrobieniu~~ w robocie. Ale prędko
zbuntowała się przeciw sobie, modzie, prze-
ciw tym wszystkim, którzy jej bez ustan-
nie o strojach mówili. „Nie chcę, nie
chcę, dajcie mi pokój, nie jestem figu-
rą woskową, ubierać się nie lubię,
dajcie być sobą." Matka zaraz przeszko-
dy stawiała. Dziwaczysz Hela, strój
rzecz nie tylko przyjemna ale ko-
nieczna, estetyczna, świadczy o ~~guście~~
~~smaku~~ wyrobionym smaku, – ~~prosto~~
każdy ubierać się lubi, – kto może tylko.
Ale Hela ~~stanowczo~~ ~~wyraźnie~~ zapowie-
działa stanowczo, że nie chce być naj-
modniej ubrana, że nosić ~~będzie skromne~~
nosić będzie skromne sukienki, że matkę
prosi, błaga na wszystko w świecie, aby
jej się nie sprzeciwiała, zostawiła swobodę
bo inaczej będzie się czuła Hela b. nie-
szczęśliwa. Matka ustąpiła, matka

zawsze należała wola jedynaczki.

— Hela nie lubiła strojów, wstydziła się ich dla siebie, wstydziła za wszystkie inne które taką wagę niezmierną przywiązywały do ubioru. To przecie rzecz niewinna mówiły, a taka przyjemna, taka estetyczna. Oczy ich rozjaśnione przeglądały żurnale, ręce nurzały się w stosach koronek i wstążek, inteligencja stępiała im się na twarzy gdy szły na naradę do krawcowej lub modniarki. Ta niewinność i potrzeba i estetyka stroju była dla Heli hypokryzją. Czuła ona, iż po za tem co wymawiają usta strojnisi, jest coś czego nie powiedziałaby żadna z jej znajomych, oto chęć podobania się mężczyznom. Dla nich to były te wszystkie barwy i kroje sukien, kwiaty, pióra, koronki, świecidła, klejnoty, cały ten cały świat w którym kobieta obracała się ze swobodą i rozkoszą. To nie była sztuka dla sztuki, przeciwnie, była to sztuka mająca cel przed sobą jeden jedyny: chęć przypodobania się im wszystkim, mężczyznom. I wtedy

Helę wstyd ogarniał za nie i za siebie, patrzyła czy suknia jej dzisiejsza nie nosi więcej cech wspólnych ze strojami tamtych wszystkich. W Paryżu panny lwowskie nie dawały jej spokoju ze strojami i arystokratycznemi manierami, w kt. przebrać się chciały. Starały się wiernie naśladować akcent paryski wymawiając „r" gardłowo, i cieszyły się niezmiernie gdy je za Paryżanki brano. Uważały, że szczytem dystynkcji jest chodzenie na spacer do Lasku Bulońskiego. Razu pewnego Wandzia przyszła podzielić się z Helą nowem odkryciem. „Wiesz ~~ma chère~~ ma mignonne, ~~[illegible]~~ musimy jutro iść na spacer do parku Monceau. Okazuje się, że tam chodzi i jeździ prawdziwy „monde chic", a tak hrabia X ma swoją villę, baronowa Z także. Ja nie wiedziałam o tem dotychczas." I biedna istota prawdziwie odczuła tę nieświadomość swoją. Dla czego Helę nudziły takie rozmowy, takie zapatrywania, takie sądy. Wzgardzała niemi, nie wychodziła po za nie, ale czuła, że musi ominąć ten jej świat

wymarzony, w którym nie byłoby przyszłości dla p. Handki i jej ideałów. „Do krainy do krainy, powtarzała Hela, kraina szkatki i przeszłości. Powstaną ku mnie wielkie zagasłe duchy, widzieć je chcę, czuć je, poznać." Przed wyjazdem ~~w rocznicę ślubu~~ udano się na uroczyste pożegnanie do Tarskich. Panny zaproponowały spacer, miano przejść przez plac „de l'Etoile". „Chcę wejść na szczyt łuku tryumfalnego", powiedziała Hela i nie czekając na towarzyszki poczęła się wspinać po wąskich ciemnych schodach. Tchu jej zabrakło, gdy weszła na górną platformę. Spojrzała dokoła siebie. Stała na szczycie łuku tryumfalnego Napoleona, a łuk ten był sercem placu, z którego promieniami rozchodziły się ulice i bulwary. Na wszystkie strony szły wycięte ulice, najeżone olbrzymiemi domami, pełne ludzi, powozów. Dalej, dalej, ~~ich~~ zmniejszone wskutek odległości ku niebu wznosiły się kopuły i wieże kościołów, dalekich olbrzymich gmachów rozrzuconych wśród powodzi wielkiej

sześciopiętrowych domów. Gwary miasta
- olbrzyma słabemi i zmienionemi echem
dochodziły ~~do~~ aż do uszu Heli; tętniły
ciągle

~~Najpewniejsza.~~

31/XI 901. Kraków

Najsilniejsza.

Obraz dramatyczny w jednym akcie.

Scena przedstawia skromnie umeblowany pokój studencki; półka z książkami, ~~[illegible]~~ biurko, szafa, na lewo stolik parę krzeseł. W głębi drzwi na schody; na ~~lewo~~ prawo drzwi do sypialni. Przez drzwi wchodowe ~~wnoszą trumnę~~ dwóch ludzi ~~ft~~ z przedsiębiorstwa pogrzebowego wnosi trumnę — stróż domu ich prowadzi:

Kanapa pod ścianą.

Stróż (wskazując na drzwi od sypialni) Ot tam leży nieboszczka. ([illegible] wychodzą we wskazanym kierunku)

Stróżowa (wsuwa głowę przez drzwi wchodowe) Janie, a przynieśli trumnę?

Stróż ~~Przynieśli~~. Właśnie przynieśli.

Stróżowa ~~Ot~~ Ot tu czeka babka niby do ubierania nieboszczki (wchodzi, ~~ogląda~~ mówi w stronę ~~od~~ drzwi wchodowych) a no chodźcie babciu ~~to tam~~. (wchodzi stara ~~babka~~ kobieta)

Babka A cóż ona matki nie ma

Stróżowa Ona ~~to niby do brata~~ przyjechała do brata, co tu mieszka, niby do akademika ~~tego~~, niby do brata. ~~do młodego akademika~~ Oj, ~~Lecz~~ dwie niedziele pogościła i już umarła biedactwu. ~~Jakaś była nawet dobra~~ Nie chorowała nawet długo, — na dwa dni przed śmiercią zlegała i już nie wstała. Świeć Panie nad jej duszą

Ludzie co przynieśli trumnę wychodzą głównymi drzwiami.

pamiętka, ta niebogo { brata przywoływała i to i owo z upraszania, — wyprzątnęła mu [illegible] izbę dała zwarzgawić

A i mój Dzieciskom ~~przynosiła~~ ~~raz worek~~ jabłek

Ludwika ~~Taka młoda~~ ~~niby~~, ~~poczciwa~~; Ot przyszła choroba! ~~zmarła~~ ~~słychać głos w pokoju~~

Babka Ot pokój tam jest!

Słychać głos w pokoju na lewo

Stróż Ot jest brat i kolega brata, też akademik

Ludwik (za sceną) Chodźmy Karolu

Babka Może byście pani Janowo mnie pomogli; zawsze trzeba we dwie do mycia, do przyzwyczajenia kaftana. ~~[illegible]~~

Stróżowa Ot mogę, Dzieciska wszystkie [illegible] pójdę tylko garnek z obiadem do ognia przystawię, a nuż kto przyjdzie. Idź do Jan, na policję ~~[illegible]~~ ~~wedle~~ meldunku tych (z nowych) piętra

Jan Idę, idę. (wychodzą oboje)

Babka wchodzi do pokoju na lewo, po chwili wychodzą Karol i Ludwik

~~Ludwik~~ Karol siada na krzesełku przy stole, ~~na prawo sceny~~ ~~[illegible]~~ ~~do [illegible]~~, głowę wspiera na ~~[illegible]~~ (dłoni).

Ludwik (stanąwszy przy nim, chwilę milczy) Karolu... (Karol drga)... może byś tej że mną wyszedł — co, chodź na miasto.

Karol ~~[illegible]~~ przecz ~~[illegible]~~ głos, wstrząsa [illegible]

Ruchy, świeże powietrze, mnie wyrwie. Chodź!

Ludwik Widzisz może (to lepiej by to było) na kolej

Et może my po matkę pójdziemy?

Za godzinę, ale za dwie przyjedzie

Karol kręcąc głową

Ludwik To może — ~~ot~~ ot co — pomożesz ze mną wyjść zjeść czy napić się (rozgląda się) tu nic niema, od wczoraj wieczorem siedzisz

Karol Jeszcze (po chwili)

Ludwik Nic? (to może papierosa?

(podaje mu cygarnicę Karol bierze ~~i~~ ~~czyniąc~~ palą obydwa).

Ludwik Cóż teraz będzie? Ja myślę, że dobrzebyś zrobił zmieniając mieszkanie; trzeba już te. przyznam ci się nie ~~[illegible] go nigdy nie~~ lubiłem go nigdy ~~[illegible]~~ zawsze, że za wielkie dla ciebie jednego: dwa pokoje, prawda porządnie umeblowane — ale to drogo. Dziś źdźbło przyjdzie, pisał już do kolegów, jak zdrów.

Karol Zdrów zupełnie

Ludwik Przyszedł do ciebie. ~~Et młody nie ma z zapalenia płuc, podobno byłby zawsze sobotę~~!

Karol Żyje więc i zdrów? ~~[illegible]~~

Ludwik Naturalnie, ~~ot~~ ~~przyjedzie~~ ; ~~chwała Bogu~~ ; ~~przecież mi smutno by~~ smutno mi się bez niego.

przeszły mu już ślady za palenia płuc. Cieszę się, że przyjedzie, już mi się smutno bez niego

Karol. ~~Wyzdrowiał~~ – ~~to dziwne~~ Zdrów – dziwne

Ludwik Cóż nie takie dziwo, nie jeden choruje – nie umiera, wyliże się i zdrów.

~~Karol Umiera~~ czy tak czy tak umrze

~~Karol Umrze i tak nie minie~~!

Ludwik No, no, Karol, otrząśnij się, ~~no~~ jeszcze razem chodzimy – [illegible] na ~~na szklankę~~ kawę.

Karol Nie pójdę

Ludwik Ah, szkoda, ~~tobie by lepiej nawet na powietrzu~~, ta (Ludwik przechodzi do okna otwiera je na oścież) chodzi po pokoju – wchodzi stróżowa, patrzy chwilę na Karola ociera oczy fartuchem, kręci głową, – ~~woła~~ mówi cicho do Ludwika „ja tam pójdę [illegible]" wychodzi do drzwi sypialni Ludwik zaczyna zcicha gwizdać! Wchodzi Kalikst podają sobie ręce. Kalikst podchodzi ~~do~~ do Karola – bierze go

za tę
Karol Ot to ty, ledwiem cię poznał.
Kalikst Nie mogłem przyjść wcześniej, ~~ledwie~~ ~~dz~~ przed chwilą mnie stary uwolnił
Karol Z prosektoryum?
Kalikst Tak, mieliśmy ~~konferencyę~~ roboty, egzaminy. Wchodzi stróżey z przedsiębiorstwa pogrzebowego niesie kir, inny świece w wysokich świecznikach, ~~więc~~ Ludwik mu wskazuje drzwi na lewo wchodzę — po chwili wychodzę, ~~z korytarza~~ wnoszę jeszcze różne przedmioty.
Ludwik (podchodzi do Kaliksta bierze go na stronę) Weź no się ty Kalikst do niego; — jakiś mi się dziwny wydaje; trudno umarła siostra - żal, ale on jakieś ma myśli w głowie — ~~nie tego~~. Dwie noce nie śpi, nie je, — wyjść nie chce ~~stąd~~ — to widzisz niedobrze. Może ty go tak na co namówisz.
Kalikst Spróbuję.
Ludwik (wyjmuje pugilares) ~~na, put~~ masz

tam coś jeszcze, z tem przedsiębiorstwem
trzeba będzie skończyć, z księdzem
już się umówiłem, a prawda jeszcze
niczego ~~nie obstalowałem~~, daj-mi jeden
papierek (wyjmuje banknot z pugilaresu) — muszę iść — do. (wychodzi)

Kalikst (podchodzi do Karola). Karolu
.. Karolku, możebyś ty ze mną tym
czasem na miasto wyszedł?

Karol Ach, nie, Kalikst — ty mnie
nie męcz — tamten już drugi dzień
wciąż jedno powtarza — choć nie
słucham — usłyszeć wszędzie muszę —
— (ogląda się) a gorzej!?

(Stróżczyk z przedst. pogrz. wychodzi z pokoju

Kalikst. On miał słuszność; ty musisz
myśl oderwać, tak nie dobrze.

(milczy chwilę bierze gwałtownie za rękę Kaliksta)

Karol Kalikście.. czemu? Słyszysz
czemu?

Kalikst Co? Co?

Karol Ta śmierć!

(milczenie)

sypialnego i znikając za głown. drzwi.

Karol Czemu ta śmierć,.. jedna chwila
i — nic. ~~Nie rozumiem~~ Pojąć nie
mogę!

Kalikst. Coś by ją tak kochał biedaka, – nie wiedziałem nawet! (obejmuje go ramieniem)

Karol. Jadzię kochałem? Nie – ja nie wiem, nie wiem czym ją kochał bardzo; ~~ot~~ ~~zupełnie~~ siostra. Matka ~~ją~~ kochała, ~~bardzo~~ ~~nie~~ tak jak ~~mnie~~ ona, ~~ale~~ kochała bardzo; – przyjedzie, zobaczy tam ... trupa......... ~~ciało~~ zimne, martwe, ~~Kalikst~~ obce ciało – ~~obce~~ ... ~~jak~~ takie obce, – ustami ~~zżyte~~ już ~~do~~ uśmiechem ~~uśmiechu~~ a tym śmiechem urąga... ona mówi śmierć, śmierć. – Kalikście ty wiesz, że ~~jest~~ śmierć jest – był wiesz? ~~trupy~~ – my wszyscy trupy – takie same jak ona – ~~takie~~ martwice zimne ~~ty wiesz~~ (po chwili ~~niespokojnym~~ głosem) ~~Kindiej~~ coś ty dziś widział w prosektoryum?

ją/

bardzo

wiesz ty

takie ciało martwe zimne od żywego.

Kalikst. No cóż mieliśmy robotę, konfekcyj, preparaty.

Karol Widzieliście trupy – takie ludzkie obojętne, ciche, zimne trupy.

Kalikst. Karolu, z twemi nerwami źle, nie masz czego u siebie na uspokojenie? przypadkiem

<u>Karol.</u> Ty mi nie mów! Ja jeszcze żyję — ja jeszcze nie umrę. Ale będą (tyt) tydzień, ... wszyscy.. wszyscy

<u>Kalikst.</u> Co tobie Karol? Toż to zwykłe codzienne

<u>Karol.</u> Zwykłe? Ja pierwszy raz odczułem? To ty czujesz, ~~tak~~, ty wiesz?

<u>Kalikst.</u> Co Karolu?

<u>Karol</u> Śmierć! Żywy jestem — a to stać się musi! Przyjdzie po moje ciało — co ono zrobi ze mnie! — ~~tamto~~. (wskazuje ręką na pokój)

<u>Kalikst.</u> Powinieneś być rozsądny, ~~tak~~ jesteś młody, zbliżaj się, życie przed tobą.

<u>Karol</u> A po życiu — śmierć. Dziś czy za lat dziesięć, czy pięćdziesiąt przyjdzie! I na ciebie przyjdzie, I na moją matkę przyjdzie! ~~Tak je~~ ~~tak kocham~~, ja ja ~~zawsze widzę przed sobą~~, ja ~~myślałem~~ czułem, że ~~zawsze widzieć będę~~. Ja młody, ty młody, ona stara — pomrzemy. (Wstrz-

ta drzwi Janowa, — wchodzi Dzierż
Kaliksta (na stronę)
Stróżka Panie, a nie mielibyście pienię-
dzy ~~trochę~~? — trzeba dla niebożątki
kupić jakie trzewiki, — bo te na nią
za małe, nogi pobrzękły (pokazuje
bucik zużyty)!
Kalikst daje pieniądze podchodzi do
Karola.
Karol To samo z nią (pokazuje rę-
ką na stróżkę) i z jej dziećmi, z ~~nimi~~
~~wszystkimi~~.
Kalikst Dajno pokój Karolu, trzeba
starać się zapanować nad sobą — to nerwy.
Karol. Powtarzam ci — ~~pierwszy raz~~
pierwszy poczułem śmierć (zaczy-
na płakać jak dziecko tuli się
do Kaliksta) Kalikście poco? poco?
Kalikst (głośniej go pogłaszcze) Dziecko
~~Dziecko~~!
Karol (zrywa się). ~~nie~~ to nie dziecko
mówi przezemnie, to mówi ten co widział
i wie. Już wiem! Coś byś czuł gdy
pierwszy raz dotknąłeś skalpelem tru=

pa w prosektoryjum?

Kalikst. Trochę z początku mi swojo, ale człowiek prędko przywyka.

Karol. Co ci on powiedział?

Kalikst. Kto?

Karol.. Twój preparat, ~~człowiek~~ co żył kiedyś, aż umarł.

Kalikst. Widzisz, ja przedtem byłem na przyrodzie, przywykłem do dysekcji; to takie same mięśnie, czy kości, jakakolwiek tkanka wreszcie.

Karol. To może co tamte ciała mówiły?

Kalikst. Mój drogi, ~~ch~~ każdy się zżywa z swoim zawodem i nie widzi w nim niem rzeczy, które ludziom obcym ~~się w nim wydają~~. ~~dostrzegają~~ zdaje się dostrzegać!

Karol. Prawda, może... może ty jeszcze nie wiesz. Zresztą Przecież i ja śmierć już tyle razy widziałem dawniej ~~dokoła siebie~~, umarł mi ojciec, w zeszłym roku Władek, — i tyle

tylu już ich — ~~innych~~.. Co dzień spotykam na ulicach pogrzeby, — ~~tyle~~ razy byłem na cmentarzach, — ~~tylu widzę dokoła siebie w żałobie — a nie widziałem oczu~~.

Ani razu nie pomyślałem, że ten świat, w którym żyję, ten świat żywych mój twój — to także ~~świat~~ był świat tamtych — co byli — aż pomarli, byli a ich nie ma a dziś —

~~Otwórzmy pieśni~~ ~~bo tam~~ — ~~Toż ja, jak i ty~~
jak i wszystkey żyję, słyszę, rozpoznaję
wreszcie — o czasach przeszłych, o
tych co byli — o tych co żyli — a
których nie ma!! Otóż ona — pomarli.
Przyszła na nich śmierć. Ja wiedziałem
o tem — to takie proste — i takie
jasne, — alem ja nie czuł. Ja
jeszcze nie czułem dotychczas. ~~Z dnia~~
Teraz czuję, — tak czuję, — że na
siebie patrzę jak na trupa!
Przepadły. Zamknij oczy Kalikście,
zamknij — wpatrz się w siebie
by ~~może~~ gorąco, czujesz, by może myśli bystro, tę żyjesz
~~tam~~, — ~~[illegible]~~ tego wewnętrznego
wroga — twojego ale nie będzie — nie.
Kalikst. Daj że raz pokój — trudno
śmierć czeka wszystkich.
Karol. I ty ~~to~~ tak ~~mówisz~~ powtarzasz zdawkowo
~~[illegible]~~ ~~zdawkowe~~ ; a co będzie gdy
~~to~~ przyjdzie..
~~Kalikst~~ Nic.
~~Karol.~~ Więc czemu, czemu?
Kalikst. Jak dziecko jesteś, prawo
przyrody, — konieczność ~~taka~~.

Karol. Przecież ja już zdania takiego zdatem, czy takim, wiem, — tak mi nie mów, bo mówisz, jakbyś słowa złożył tylko, a treści nie pojmował.

Kalikst. Już pozwól, że rozumiem, mam z tem coś wspólnego do czynienia. +

Karol. (ciszej [illegible], mówiąc:) Ty swoją Zosię kochasz!

Kalikst. Cóż Zosia?

Karol. — Ona umrze! Pobladłeś, czemu pobladłeś, wiedz przecie o tem. Będziecie mieli dzieci — pomrą wszystkie — pomrą matka, ojciec, brat. Prawda, nie myślałeś o tem, ale czy nie pomyślał, że Zosia, i oni, ty, i ja staniemy się [illegible] — żyć. Ty nie czujesz śmierci! — Słuchaj. W tej chwili ja tak ją czuję — tak wiem, że przyjdzie — że z mnie zostanie trupem* — (jest że we mnie nie stanie i mnie), który żywy stoję tu przed tobą i mówię.

Kalikst. Więc cóż?

Karol. ... Otóż właśnie ... wiem już, co będzie ... wiem jak będzie ... a wiem, że wiedzieć nie będę czemu będzie ... Ale sama świadomość śmierci — ze mnie żywego

Siła wiary i pomocy — zagadka — i [illegible] tylko jak i tylko 1915.

już pół trupa zrobiła, — ja ją czuję w sobie.

Kalikst. Dla Boga! Toż ty zdrów, spojrzyj tylko na siebie, — barwy jak u krwi, toż ja znam ciebie nie od dziś, żadnego zarodu choroby. Do starości późnej dożyjesz.

Karol. Choćbym i lat sto dożył nawet — przyjdzie koniec. Ja wiem. Ona mi powiedziała (pokazuje ręką na pokój). W tej krótkiej chorobie układała plany na lat kilka. Myślała tylko o rzeczy ~~Miała dostać miejsce~~ nauczycielki ~~na wsi~~ w górach, myślała o wycieczkach latem, o ślizgawce zimą, mówiła, że po jakimś czasie uzbiera sobie trochę oszczędności na czarną godzinę. Aż kiedy przyszły ostatnie chwile — w jej oczach odbiło się takie zadziwienie straszne, bojaźń taka, żem ja w okamgnieniu ~~przerażone — pierwszy raz się dowiedziała, że pierwszy odczuła i umarła~~. zrozumiała w chwili śmierci dopiero pojęła wszystko.

~~ją w odczuwaniu przeczuła i pojęła~~

Kalikst. ~~Ot czy matka~~ Coś ty telegrafował do matki?

Karol. Matka — matka je takiej ~~[illegible]~~ na mię jakiejś z dalekiej przyszłości, widziała je

żyjmy ~~zawsze~~, w dobrej i czy złej doli;
ale żyjmy — już, i zawsze ~~[illegible]~~ żyć! (mnie takieś widzi)
Ach Gdybyż ona czuła, ~~że to~~ przyjść musi,
płód by zabiła w sobie — zanim by go
świat wydała. Wydała na świat, wy-
dała na śmierć!! — Twoja matka tak
samo! I by poczniesz dzieci, ~~tych~~
~~pastwę straty śmierci~~. — na śmierć!
Kalikst. Mój Karolu, to co mówisz,
prawda, ale my już z ~~tą~~ prawdą ży-
jemy — to ~~stara~~ także codzienna,
zwykła. ~~Piekło~~ jak twoje słowa
~~wyszadem nie raz, nie dziesięć razy~~
~~a jednak~~ życie idzie i pójdzie swoim
torem, ~~to~~ także natury prawo.
Karol. A ty je pojmujesz!?
Kalikst. Tak samo dobrze, jak i pra-
wo śmierci. Życie istoty każdej płynie
aż dojdzie kresu. Jednostki giną — zo-
staje gatunek.
Karol. To pociecha? Ha, ha, — ~~dostała~~
Tyś nie widział, nie, żeś nie pojął
tego przerażenia w jej oczach, w jej twa-
rzy, w postaci całej! ~~Zasiane~~ Wyższe

Antek.

zyta palce, — ~~ostrzy się zarysowały~~ — ~~Ach, nie, nie~~ — widzę ją... Boże, ona się tak bała. Z jej szczęk wydobyły się jakieś przerażające ostre kąty ~~włos się zjeżył~~, ~~twarz~~ powieki nie ~~w oczach~~ zemkną wyszły — ~~zarysowały się~~, ~~ona~~ i w tych ~~oczach taka strach~~ zgroza — ~~przepaść strach~~...

w twarzy biel

cienie od strachu, od zgrozy, jak przepaść oczy. Takie ogromne, straszne, otwarte

Kalikst. To zwykłe objawy choroby, którą ją znają.

Karol. To nie były objawy choroby, — ona ~~zo~~ zamiała. ~~Skupiła się~~ wtedy potem w sobie i już cicha. ~~zaczęła konać~~ poddała się.

Kalikst. Serce szybko przestało działać, nie męczyła się długo. Bolesny, co może

~~Karol~~. było, trudno, miała biedna nienormalne rozszerzenie prawego przedsionka, przyjść to musiało później czy wcześniej.

Karol. (wybucha) Głupsi jesteście!

Kalikst. Ależ Karolu, uspokój się, nie możesz dawać opanować się tak nerwom.

Karol. Tak, tak, głupsi, wy wszyscy głupsi, i z nauką waszą i z waszą medycyną, etyką, filozofją; głupsi, głupsi,

z prostego przekonania w próżnię, — byle myśl zabić, byle jej w oczy nie ~~spojrzeć~~ patrzeć. Ona miała nienormalne serce, a ten mózg, a tamten wątrobę, a tamtemu belka głowę rozbiła, czy tyfus zabrał, czy dżuma. — Otóż umrze każdy, każdy, choćby najnormalniejszy, choć o dwu sercach, choćby lat sto przeżył. Umrze — ~~zamierają~~ pokolenia, rasy, narody zamierają w długich wiekach okresach wszędzie: na równiku i pod biegunem dalecy, bliscy, wszyscy. My tylko pocieszać umiecie: tak być musi, konieczność, — a gdy się na tę konieczność oczy otworzy — to ~~tak~~ jak jej — przerażenie i strach i nieświadomość i zgroza bierze... Kalikście — ja wiem, ty mi dasz bromu, czy morfiny, nerwy mi się ukoją — postaram się zapomnieć — żyć będę, — ~~ale~~ pójdę do obozu — ale ona ~~przy~~ tak czy tak przyjdzie — (łzy)... przyjdzie i wtedy... wtedy... ja jak i inni... poddam się... umrzę.

...ale ja nie chcę, — ja nie chcę...
nie, nie, nie myślił, że ja tak się jej
dla siebie boję; dla siebie Karola Grochowskiego, że ja jej dla siebie nie chcę —
— mnie dla wszystkich śmierć tak
dręczy — tu, tu mi w mózgu stoi
nie to tym widziad trapy, nie maja
(nie trodzę) — ja gorączki nie mam, — ale ja
wiem, mózgiem wiem, że przyjdzie
i czuję, że przyjdzie, i że koniecznie
przyjść musi —, że rady nie ma żadnej
Boże! ja moja matka — ta stara
— ja może widzieć będę jak przyjdzie
na nie, ja wiem, że na nią przyjdzie
— Kalikst —, i nikt nie może,
nic — i twoja przyroda i nauka
głupsze, głupsze to — ~~Boże~~ (szlocha)
Kalikst. (podaje mu szklankę wody)
Jan otwiera drzwi)
Jan cóż nie potrzeba tam czego?
Kalikst (Idzie do stolika pisze
receptę) Macie przynieście z apteki;
byle prędko
Stróż wychodzi.

<u>Karol</u> (głosem przypiszonym w Kalikstada przy nim). Mam lat dwadzieścia trzy. Kochali mnie bardzo od dziecka. Ojciec, matka pieścili, psuli, i ona ~~nawet~~ – starsza siostra. ~~Teraz mi ojciec oddali bytem w domu, pan~~ ~~byłem w szkole~~ z domu, oddali, do wyższych szkół, skończyłem ~~gimnazjum~~, teraz w uniwersytecie jestem – ~~naukładam~~. Być wiesz – chciałbym tam zdać egzaminy ~~spokojnie~~, żeby litować się – skończyć życie. – Chociaż nie myślał, i nic więcej tylko: tak będzie jutro, za lat kilka, kiedyś. + Wiesz ona przecież ~~tak samo~~ ~~już~~ w chorobie już rozkwitłość może. I wszyscy tak samo. – stracają na dnie co przyjdzie może – a z temi dniami – przychodzi śmierć. – Ja ci nie umiem powiedzieć nawet co czuję. To nie żal, nie żal, że życie przechodzi, – to nie tylko strach. I ale to zdziwienie bezmierne i ta ~~zaraz~~ zarazem pewność ~~końca~~ śmierci.

Jan wnosi flaszkę Kalikst odmierza różne krople (Jan wychodzi) podaje Karolowi

ja ~~nie umiem~~ – ~~dowiem się~~ wtedy ~~się~~ dowiem w największej swojej głębi i coś ~~[illegible]~~ i ~~co~~ tego nie określę

+ Chciałbym, który nie będzie. – I jak ja wszystkiemu nie podumieję – tak żyje.

dopłata, — we wszystkiem
i ~~w całem mojem stworzeniu~~ kiedy ona przyjdzie.

Kalikst. Wypij Karolu

Karol (bierze machinalnie szklankę w rękę, patrzy na Kaliksta)... Czemu, czemu?

Kalikst. Wypij proszę; strach przed śmiercią to ostatni wysiłek organizmu w walce o byt, — to ostatni błysk chęci utrzymania się jeszcze przy życiu.

Karol. Czemu, czemu? Pytam ciebie, jak siebie pytałem — choć wiem, że odpowiedzi nie będzie — Po co mi powiesz to nauka, to naukowe teorye — a one nic nie wyjaśnią ~~nie~~ ~~wcale~~ ~~prawdy~~ ~~śmierci~~. (pije lekarstwo). Przyjdzie matka, biedna, biedna matka, pewnie płakać będzie.

~~niej~~

Kalikst. Staraj się stan swój ~~ukrywać~~ badaj dla niej.

Karol. Ukrywać, a prawda? ~~Nie~~ Nie, nie Kalikst, to co mówisz, wiem, że tak mówić trzeba, taki zwyczaj, — taki już — i taki też zwyczaj obiecywać do trumny, — ale ja nawykłem

x trzeba zająć, [illegible] choć ciebie [illegible] odrazu [illegible] się dom[illegible]

te zwyczaje, na wszystkoś twoje słowa wiążą
prawdą śmierci. Gdybyś jak ja rozumiał i czuł nie mówiłbyś! (Po chwili)
Tyś dla mnie zawsze bardzo był dobry
i tyś mądry także — aleś ty dziś ślepy
— ~~tylko ślepych~~

Kalikst Pomyśl Karolu, że gdyby wszyscy
o śmierci wciąż myśleli — życie by
wśród ludzi ustało, ustałaby czynność
wszelka, i dążenia, cele...

Karol. Ot jednak ~~to~~ ona największa i jedyna
nieomylna ~~[illegible] mocz~~! Pamiętaj
na nią — bo ona, ona — to ta co nie
minie. (~~milczenie~~) to ta najpewniejsza (milcz.)

Kalikst. Wiesz co Karolu, wyjdźmy (patrzy na zegarek) Chodźmy bodaj na
kolej; jeszcze mamy czas do pociągu,
którym przyjedzie twoja matka.

Karol. Uszczęśliwiłeś mi mózg opinią,
teraz dalej chcesz mnie do życia sprowadzać.

Kalikst Idziesz?

Karol Dobrze

Wstaje aby wyjść — stróż otwiera drzwi
wchodzi Ludwik, za nim Ksiądz w zaw

× trzeba się nią zająć, niech choć Ciebie wokoły odraza zamknie się dowie.

Tłumem ubrani i kościelni; zaczynają śpiewać: Requiescat in pace.
(~~Zasłona spada~~)

__Karol.__ Pokój umarłym — a my żywi żyjmy — aż do chwili śmierci
(wychodzi)

Zasł. spada

Kraków.
2/XII 901.

W Lesie.

Scena przedstawia las w głębi; — tu przodem polanka; na lewo parę pni ściętych; na prawo gruby pień zrąbany. Droga idąca przez las kończy się — schodzi na polanę. Z głębi nadchodzi Karusia; ubrana jasno, obszernie, w ręku trzyma koszyk, z którego przegląda chleb, parę bułek.

Karusia (idzie przed siebie, ogląda się dookoła, widzi pień jeden najwyższy, wchodzi nań.) Rosnę, rosnę, staję się wyższa już, ponad innych wystrzelam. Całą siłą ducha urość chcę! Całą siłą serca wzrosnąć chcę; ~~Obok nie ma~~, nie ~~staje już~~ wzrost tylko, wyższa niż inne i na moim szczycie przenikliwy wzrok, oczy na świat rozwarte. Patrzę niżej: wszystko zobaczyć pragnę, wszystkie bóle, troski, żale, nędze, łzy! Poorane łzami twarze, — rozjątrzone ~~[illegible]~~; nędzą wyżarte ciała — w kości; — bólem i męką i poniewierką — zgarbione postacie — rękę wam podam — pomogę, pomogę; — byle wyżej, byle wzrosnąć tylko, byle wschodzić

was wszystkich, najbiedniejszych, naj-
nędzniejszych. Przecież ja sama ni-
czem jestem — tylko dla was rosnąć
pragnę, bo im wyższa — tem lepiej
was ujrzę, bo im wyższa — tem serce
miększe mieć będę, bo im wyższa
tem wy serca mego bliżsi, goręcej
jego usłyszycie ~~bicie~~ tętno, ogrzejecie się
niem, uśmierzycie. (Wznosi ręce
ku górze) — Gdybyż mi stamtąd podszyta
jaka — zawiązałabym, — spiłabym się
z stóp [illegible] — a oczy wy-
tężyła przed siebie. Przychodźcie.
Czekam — czekam — otwieram serce
gorące! ~~Przychodźcie — matko~~
Jego żar was nie spali — ogrzeje.
Ach już wi-dzę — widzę ~~Dzieciczota moja — rany wam zago-~~
~~wam tu chleb głodni widzicie~~
~~go — on wasz — posilicie się~~, gdzie
— ~~ssa~~ chodzi tu tybladły — z takiem
okiem od płaczu rubinowem ~~chłop~~czy-
no —, z [illegible] — do chłodu twarzą,
Chodź ~~[illegible]~~ dziecko, masz, masz — ~~to~~
~~twoje~~ (podaje ~~chleb~~ potłuczy…

kto się przy niej znajdował] już nigdy nie zaznasz głodu, nigdy małości, tylko przy mnie bądź, a ja niech wzrosnę tylko, abym cię widzieć mogła. — Nakarmię, odzieję, pocieszę, abyś wzrosnąć tylko! Sercem chcę całem, duszą pragnę całą — bo ja jeszcze taka drobna — was nie widzę wszystkich — a was tyla jest! Boże! ~~W tej izbie ojciec i matka i dzieci szczęśliwo — snopy zimne! Tam były... Tam była zamieć.~~ (Za domem) Ja ~~wam~~ już widzę mnie ~~wiedziałam o tem.~~] Nie okażcie się mojej bezlitości! Ja wam nie ~~nie~~ ~~wspomnę~~ ~~umiałam~~ dopomóż — zmogła was — śmierć ~~Ja nie nie wiedziałam jeszcze~~! ~~Teraz wiem i wznieść chcę~~ —

tam, tam snopy zimne — ~~tam~~ wolni, zamieć prószy

Ja już teraz nad ziemią urosłam, ale ~~nic~~ ja drobna jeszcze, ach drobna, nie widzę ~~wiele wyżej — widzieć wszystkich wszystkim~~ — nasz — ~~płaczesz~~ (zwraca się w inną stronę) ~~płaczesz, co ci, zamknij, gdzie ból~~, ~~czemu płaczesz? — krzywda ci się dzieje~~? Chodź, chodź! ~~Do mnie, ja już wzrosłam kiedyś nie~~ ...

Może, kiedy pod niebo wzrosnę, sięgnę, wszystkie słońc blaski ostygną na mnie — pomogę wam.

~~weź tę sobie — będzie ci lepiej;~~
~~Tyś otrę, serce dam moje, nie~~
~~płacz, nie płacz!~~
(Nadchodzi Obywatel człowiek lat
50 ubrany po gospodarsku, buty
z cholewami, kurta austryjacka,
czapka, laska w ręku — ze zdzi-
wieniem podchodzi ku prawej
stronie — patrzy na Karusię)
Karusia (spostrzega go — zwraca się
ku niemu z ~~krzykiem~~) Ktoś ty; — Ktoś ty?
(patrzy na ~~niego~~ badawczo) — nie wo-
łałam ciebie. Idź — bo oni przyjść
nie zechcą, — oni się zlękną, oni bardzo
nieśmieli. Ja ciebie nie wołałam. Ty
nie masz bladej, wynędzniałej twarzy,
zoranej bruzdami łez, czoła okrytego
troską, — oczu nieszczęsnych, załzawionych.
Tyś smutkiem nie schylony ku ziemi,
(z ust ci nie wychodzą jęki ni skargi)
Ty się śmiejesz, — ach jaki twój
śmiech dziwny — on cichy, przypadł
do ust twoich, do twarzy tylko, ale
ja jego głosy - słyszę — ty się z nich

śmiejesz, z tych których ja widzę z wyżyny mojej, i do których z pociechą idę. — Niech się nie śmieje! Tak śmieje się Marta — a mnie wtedy serce pęka i za siebie i za Stacha i za nich — bo ona tylko śmiechem szkodzi mi — Gdy całuje, i Stachowi szkodzi — on przestaje patrzeć przed siebie tylko na mą postać, tylko na jej ustra — dwie krasne jagody, — tylko na jej policzki, — dwie krwawe róże — tylko na jej włosy długie jedwabiste nici, co się plączą dokoła ludzkich cieniów — plączą się, plączą, aż je sobą owiną i na ziemię zwalą! Ja im nie pomogę!
Byłam już prawie taka — prawie jak ta dębina wysoka (z wyrzutem) Ośmielisz mi rosnąć przeszkodzić? — Oni nie znikli — już nie widzę; — na ciebie patrzę, stoisz — gdzie bez śmiechu, ale byś nie gość do mego serca; dobrze ci! (Schodzi z pnia)

Obywatel. Skąd tu pani przybyła?

Marusia. Jestem, przecież ja zawsze

jestem, a chcę być wszędzie! stąpię wszędzie. Ty na mnie patrzysz, prawda, ja taka mała — jeszcze, choć byłam większa przed chwilą nawet i już widziałam wiele. Teraz ja mała — więc się przedemną pochowali wszyscy. Ale wzrosnę — gwiazd sięgnę pod te obłoki białe, i oczy wytężę — zobaczę. Ja ~~mała~~ drzewa i tyś mały, nie widzisz ~~wsz~~ urość trzeba. Dzieci, takie małe, maleńkie dzieci widzą tylko ptaszki, kwiatki, mrówki. Widzą — i to ich świat cały. Karmią ptaszyny, podlewają kwiaty, mrówkom nawet rzucają chleb z miodem — oto ich życie. Gdy dziecko dorośnie na inne patrzy dzieci tuli je, i pieści i dogadza. Mnie kochała matka i ojciec mnie kochał, dobrzy byli, dobrze, ja byłam taka mała — byłam dziecina tylko — mały świat naokoło siebie widziałam: kwiaty i zabawki — dzieckiem byłam. Teraz urosłam — więcej widzę, — a im więcej wzrastać będę — ujrzę więcej!

Ujrzę ich wszystkich, — ujrzę ich nędzę
a kiedy ujrzę — wspomogę. Ja wzro-
snę! ~~Ty~~ Nie przeszkadzaj mi szczę-
śliwy człowieku — ja ~~dla~~ nieszczęśliwych
rosnę, wiesz dla tych — co którzy nie idą
w słońce — a w nocy ciemnej pogrążeni łka-
ją boleśnie. Ty słyszałeś jak płaczą.
Ich płacz w każdej cząstce ciała drga
i rani, i pali, i żre. Płaczą, łkają, a
tym co słyszę — serce się rwie na szmaty,
a krwią z serca samego — mogę im rany
zagoić. Ja ~~codzień, co godzina~~ — stamtąd
słyszę, i widzę — i pomocą im jestem.
Bo przecież pomarliby z bólu, gdyby im
nie przyjść z pomocą. A tak ten ich
serdeczny ból w moją duszę własną scho-
dzi — a ja im z siebie pociechę niosę.
Bo ich widzę, bo ich słyszę, bo wzrosłem
już ponad ~~świat~~ wszystkie granice —
i ~~ty~~ — ty szczęśliwy jesteś mógłbyś
wzrość — Sercem posłuchaj najczulszym — a potem
to serce im daruj, całe im daruj,
oni tacy nieszczęśliwi. Oni albo głodni
albo smutni, albo pokrzywdzeni,
albo im śmierć czarna szczęście

wyjdziesz!
(Słychać ~~zwar~~ rozmowę za sceną — nadchodzi Marta ~~…~~ piękna, bystrojna, uśmiechnięta wsparta na ramieniu męża, za nimi starszy mężczyzna ~~…~~ w liberyi)
Marta (wskazując na Kasiunie) O patrz ~~…~~ — jest — ~~…~~, no, nareszcie, mówiłam, że gdzieś w lesie spotykasz
(spostrzega Obywatela) A…
Obywatel (podchodzi do niej) Proszę pani ~~tak~~ jestem zdumiony, że do siebie przyjść nie mogę — kto to? (wskazuje na Kasiunię. Ta, gdy spostrzegła Martę — umilkła nagle, twarz jej posmutniała bardzo)
Marta To — to Kasiunia, siostra ~~mego męża~~ (przyciszonym głosem) Chora biedaczka
Obywatel Domyśliłem się…
Marta Pewno pannę swoją obecnością już pokarała. A tak, biedna, ciężko chora, i nam z nią też ciężko (wzdycha).
Obywatel ~~To siostra~~ pani?
Marta Nie to siostra mego męża

Stacha — ; tak my tu tak w lesie stoimy, nie wiem nawet czyim, ~~czy~~ jakim, ~~pozwoli pan~~ i rozmawiamy — pozwoli pan, że ją rekomenduję nas obojgu przedstawię pana ~~zacne~~

Obywatel Ależ pani pozwoli — Jestem Izdebski z Ułanowa — a to właśnie las ułanowski.

Stanisław — Ot my sąsiedzi całe dalej, Wolscy z Kolki

Obywatel Przyjemnie mi, że nareszcie mam ~~przyjemność~~ sposobność poznać obojga Sz. Państwa. ~~Dyrektorzy szereg z ...~~ ~~w mieście czy wśród innych ludzi.~~

Marta Już od lat sześciu mieszkam po tych okolicach i rzeczywiście dziwnym ~~zbiegiem~~ ~~okoliczności~~ trafem

Jaki dziwny traf.

Marta Smutny nas tu sprowadza przypadek. Jedziemy do Lublina

Ob. Koźmin, wszak bliżej by było koleją od państwa

Marta Tak, ale widzi pan z chorą — to zwraca uwagę. Wolę więc drogi nadłożyć i dowieść ją w spokoju, już tam biedaczka zostanie

(wzdycha)

Obyw. U krewnych?

Stanisław. Nie, w szpitalu.

Marta. Ależ Staszku, to nie szpital, dom zdrowia. Lepiej jej tam będzie, wierz mi, niż u nas było. Będzie miała wszelkie wygody, stałą opiekę lekarską. Na wsi o to bardzo trudno.

(Przez ten czas Karusia oddaliła się w głąb lasu)

Marta (woła na nią: Karusiu

Karusia (Ogląda się na nią)

Marta Może ~~ty~~ spoczniesz przy nas, połóż tu wygodnie na tym pniu wielkim. (do służącego) Walenty, rozłóż nam pled (Służący rozkłada i ~~oddala się pochwili~~:

Karusia Nie, nie! (Idzie w głąb lasu znika)

Marta (do służącego) Idź za panienką (służący odchodzi)

Wszyscy troje siadają: Marta i Obyw. na pniu, Stan. na murawie obok.

Marta (do Obyw.) To smutne panie (wskazuje ręką w stronę Karusi) nieprawdaż. Tak już od lat pięciu — teraz chyba

gorzej jeszcze! – Że też nie poznaliśmy się z panem dotychczas to dziwne! Wszak pan bywa u Bełkaskich?

Ob. Tak pani?

Marta A u Sturmów.

Ob. Dobrze. Jestem ~~nawet~~ częstym gościem.

Mart. I my ~~tam~~ u nich bywamy; to stąd niedaleko, mogliśmy się przecie ~~tam~~ widywać. Prawda Staszku, że to dziwne? – A teraz zrobiliśmy panu najazd, w lesie to prawda i niedaleko naszej willi – Marynia chciała się koniecznie zatrzymywać, spotkała jakąś babę pijaną czy żebraczkę, zaczęła więc ją darzyć datkiem.

Obyw. Ta do mnie mówiła bardzo dziwnie.

Stan. Ona rzadko mówi przy obcych.

Obyw. To był jakby monolog, którego ja stałem się mimowolnym świadkiem – potem zwróciła się nawet do mnie.

Marta I cóż rzekła, rzekła (śmiejąc się cicho) wie pan, to byłoby zmieszne, gdyby nie takie smutne ~~dla niej~~ i dla całego otoczenia

Stan. Marto, daj pokój.

Marta ~~Cóż mam pocz~~ Cóż na to ~~pora~~ pora dzić Staszku, może to i wzniosłe zra-

bóstwo; ale du sublime au ridicule il n'y a qu'un pas — i właśnie przy tem próg przekroczony! (zwraca się

Stan. Przestaje ~~chodzić~~ przechadza się czas jakiś na środku sceny, potem znowu siada u stóp Marty. Obyw. również wstaje i stojąc słucha słów Marty

do obyw.) ona ma manję wielkości.

Stan. Kiedyż Marto to nie mania wielkości, tłumaczył ci to doktor, ona ~~za wielkość nie choruje~~ nie ma siebie za wielkość żadną, — tylko — taką czułość jej.

Marta Nadczułość nawet jeśli chcesz. Nadczuła jest względem świata całego,

Stan. wst. i td.

Marta (do Obywatela) ~~Ach~~ to panie bardzo, bardzo tragiczne.

Obyw. Oddawna jest chora.

Marta Od paru lat; ale i dawniej była taka egzaltowana, nienaturalna, narzeczony nazywał ją ~~kwiatem lotosu~~ czułką, mimozą.

Obyw. Była więc zaręczona

Marta A tak z panem Chylewskim doktorem w L.

Obyw. Z Karolem?

Marta A tak, tak, zna go pan dobrze

Obyw. Niewiele, ale to zdolny człowiek, ma ogromną praktykę.

Marta Tak wyrobił sobie dobrą klientelę, w L. dobrze płacą.

Obyw. ~~Taki~~ zdrowy, wesoły doktorek był więc narzeczonym panny Karusi.

Marta Tak przez rok cały, — aż z nim zerwała — niestety. Bardzo już prędko potem popadła w taki stan chorobliwy.

Obyw. Może to było nawet przyczyną?

Marta O nie chyba nie to, przyczyny były inne i rzeczywiście bardzo dziwne. Dla tych przyczyn zerwała z narzeczonym i sama obłąkania dostała. —

~~Obyw. Chciałem pytać się pani~~, ale

Pamięta pan przed pięciu laty panowała w tych okolicach silna cholera

Obyw. Pamiętam

Marta Dr. Chylewski j mieszkał wtedy =

daleko nas, — był naszym domowym lekarzem, więc radził wszystkim opuścić Wólkę i wyjechać za granicę nad morze.
Obyw. Państwo wyjechali?
Marta Naturalnie Staszek ja i nasza córeczka, — ale Karusia za nic jechać nie chciała
Obyw. Nie bała się cholery?
Marta Niech pan sobie wyobrazi nie się jej nie bała — tylko zrazu w niej nagła zmiana, stała się nadzwyczaj czynna, energiczna, zaczęła chodzić po chatach, leczyć chłopów, aż się bałam, że nam zarazę do domu przyniesie. Gdyśmy wyjechali założyła nawet szpital w naszej oficynie i tam całe dnie wśród cholerycznych spędzała! Brr, aż mnie dreszcze przechodzą na myśl, co się działo w naszym domu. Dr. Chylewski s~~odradzał~~ jej tych poświęceń, ~~tej~~ ona zawsze była wątła, ale się trzeźwczyzna spadła, robiła swoje dalej, wreszcie zażądała od narzeczonego aby w jednej chwili zerwał wszelkie stosunki z ~~bogatem ob~~ dawną kliniką, a

nie wyjeżdżał wcale z zarażonej Wólki. Chciała
z nim razem pielęgnować chłopów.
Obyw. I cóż dr. Chylewski?
Matka Rozumie pan, że niepodobieństwem
było dla niego opuszczać dawnych pacjentów,
nie mógł nawet przyjeżdżać potem do
Wólki, bo zaraza tak się ~~rozszerzyła~~ zagnieździła,
że trzeba było urządzić kwarantannę
prawdziwą. Gdyby więc tam siedział, nie
mógłby dojeżdżać do dawnych chorych, obywa-
teli ziemskich okolicznych, którzy ~~to~~ o-
czywiście w takich czasach — nie mogli
pozostać bez lekarza. — Otóż wtedy
Karusia zerwała z nim wszelkie stosunki.
Została wśród cholerycznych, ~~których~~ ich
zaraza była straszna, tłumnie padali
co dnia co godzina, strach na coła dzie-
wczyna patrzeć musiała i po co? —
Dość, że to na nią tak silne zrobiło
wrażenie, że potem, po paru miesią-
cach, gdyśmy i my wrócili, — i niby
jakieś nowe życie w pozostałych chłopów
wstąpiło — ona zdradzać zaczęła nie-
normalny stan umysłu.

Obyw. Tak jest więc te obrazy klęski przeżyty.

Marta. Ot podobno były straszne! Wie pan, opowiadała mi stara niańka ojczyzny, która we wsi mieszka, i w czasie zarazy ~~cholery~~ tam była, — że zdarzały się dnie, w których po kilkanaście trupów wynoszono z chat i grzebano w wspólnej jamie na cmentarzu. Wieś przepełniona była jękami chorych, wdów, osieroconych rodziców i dzieci. Było takie podniecenie nerwowe, że nikt nie spał, palono ciągle ognie w nocy, aby sobie otuchy dodać, taki powszechny strach panieżny padł na wszystkich, że się bano ciemności. Ludzie nie poznawali siebie wzajemnie, podobno często sąsiedzi najbliżsi wszczynali krwawe bójki — nazywając się ~~zbójcami;~~ ~~jak gdyby~~ na ~~jeden drugiego~~ mówiąc, że jeden na drugiego urok rzuca, albo też — uciekali od siebie, drżeli na każdy głos, każdy szelest. Straszne chwile. Podziesiątkowała ich cholera. Do dziś dnia ze zgrozą ją wspominają.

Rzeczywiście to okropne!

Obyw. Biedna dziewczyna ona patrzy-
ła na to wszystko.
Marta. Tak; i wtedy zaczęła się jej
choroba. Było to latem — a zimą
znowu w sąsiedniem miasteczku w du-
żej fabryce wybuchł strejk. ~~Skąd
się ona dowiedziała o tem~~ — pojąć
nie ~~mogę. O takich rzeczach nie~~
~~Nie mówiono o tem~~ Dowiedzia-
ła się, że dużo rodzin robotniczych
było bez dachu i chleba. ~~Pojechała~~
Poszła do nich i zaopiekowała się
nimi: to jest odrazu ogołociła całą
moją spiżarnię, posłała im wóz
zapasów, rozdała wszystkie pie-
niądze jakie miała i została tam
z nimi — aż parę tygodni. Cośmy
jej nie nabłagali, aby wróciła do domu
— nic nie pomogło —, nie wiedzieliśmy
że ~~to~~ choroba, — ona tak gwałtownie

chciała — musieliśmy ustąpić. Podobno wśród robotników była straszna nędza i demoralizacja. Niestworzone rzeczy opowiadano mi o tem, jak gdyby sceny z Zoli.

— Chciała patrzeć — patrzyła, aż wreszcie jasno wystąpiła jej manja — i lekarze stwierdzili tylko, że to obłąkanie.

Obyw. W jakiej formie objawia się ~~to~~ ono, czy tak mówi dziwnie?

Marta. Tak, czasem. ~~Ona ma manję wzrostu — ciągle się jej~~ Zdaje się jej, że jest wielka, że widzi jakieś nędze i bóle i nie pomaga. Zawsze musi mieć kosz pełen chleba i pełno groszy i rozdaje, komu się nadarzy. Zdaje się to niewinnym obłędem ale ja jako gospodyni stwierdzić

mogę, że to dość kosztowna choroba.
Wszystkich biedaczków, schodzą się z całego
świata, żebracy, ona im nasz chleb rozda.
Musieliśmy nawet użyć tu ~~powagi~~ interwencji
władz gminnych, aby tylu przybłę-
dów nie dopuszczali do wsi, ale
naszym chłopom trudno zabronić wycho-
dzić z chaty — a ona chodzi potem
i rozdaje co ma pod rękę. Dziwna
choroba!

Stan. (podchodzi do Marty) Boję się
tak Karusię samą w obcem miejscu
zostawiać, może iść do niej.

Marta Posłałam z nią Walentego.
Cóż jej stać się może. Tylko — boję
się, że ~~Ks.~~ nieznanemu dotychczas
Księdzowi czas zabieramy ~~[illegible]~~?

Obyw. Ależ proszę pani, najprzy-
jemnie mi w towarzystwie Państwa
szczęśliwy jestem, że ~~choć~~ mój

las przydał się choć dla nich
jako miejsce spoczynku!
Marta O tak, rzeczywiście przy-
jemnie w tym cieniu. Na drodze
kurz taki; ~~drzewa~~. Podróż męcząca
a i tam czeka ~~również~~ pracy wiele.
Ulokować Karusię, choć już pier-
wsze w tym celu poczyniłam
kroki, potem, pan wie, każda
ma w mieście interesy i sprawunki.
Obyw. O tak, panie lubią konfe-
kcje, stroje.
Marta Jak pan zgadł? Ja rzeczy-
wiście mam coś to i jedno polecić
do krawcowej.
Stan (uśmiechając się) O ty mąż
ich zawsze dużo.
Marta O nie starsza, nie ~~zawsze~~,
ale teraz przy sposobności, ~~czy~~ cóż
a to szkodzi? Muszę się przy-

znać, że lubię być porządnie ubrana;
~~zresztą~~ ([illegible]) mój mąż mówi nawet, że umiem
się ubrać.
Stan. Rzeczywiście umiesz.
Obyw. (Ogląda szczegółowo elegancki kostium podróżny Marty). ~~Pani~~
Marta Ale nie tylko dla siebie i dla małej córuchny kupuję nowe sukienki;
ona tak rośnie, ~~jej~~ ~~stają~~ za ~~nią~~ wszystkie ciasne.
Obyw. Państwo mają córkę?
Marta Tak siedmioletnią; choć matka, pochwalić się jednak muszę, z dniem każdym rozumniejsza się staje.
Rozwija się ciągle, myśli, prawda Staszku
St. Prawda, nie głupia dziewczyna.
Marta Właśnie ze względu głównie na nią umyśliliśmy — Kazię oddać z domu. Pan rozumie

że to dla dziecka bardzo, bardzo niedobrze, patrzeć ciągle na ten stan podniecenia. – Mąż mój nie rad był trochę z początku, ~~za~~ ale się sam przekonał, że upior na dziecko mógłby się zczasem stać najzgubniejszy. Od kwartał lepiej będzie w L.²

Obyw. Chora nie dokąd pójdzie?

Marta. Tak bardzo – to nie; obiecaliśmy ją zawieźć do kuzynki, kt. ją kocha

Stan. Wiesz, myślę Marto, żeśmy źle zrobili, trzeba jej było pozwolić dziecię. Ona miewa tak dobre chwile, że wszystko rozumie, ~~o~~ o wszystkiem z nią mówić można. Teraz, widzi pan, ona jest w wyjątkowem rozdrażnieniu; Od tego wydała się panu trudnej;

zwykle ~~wygl.~~ postępuje jak normalna
osoba, tylko ma niezwykle litościwe
serce.
Marta. Staszka, czyż ona rzeczywiście
teraz kiedykolwiek jest całkiem zdrowa;
Przecież tymi czasy wciąż ma swoje
ataki wzrostu, — monologuje i do
nieba wyciąga ręce.
Han. No tak, to stan ostrzejszy,
ale się to rzadko zdarza, parę razy
do roku, ~~zawsze~~
Marta. Ale teraz coraz częściej.
Nie, nie można jej było mówić wszy-
stkiego, ona by z Wólki nie pojechała
dobrowolnie, zanadto do niej przy-
wiązana, trzeba by było użyć gwałtu,
to by nie było dobrze. Ot ze względu
na naszą Jadzię — trzeba było umie-
ścić Karasię.
Han. Ale mi jej żal.

Marta. Mówię ci ciągle jej tam lepiej będzie. ~~[illegible]~~ jej (zwraca się do Obywat.). Czyż nie tak panie? Czyliż na to są zakłady, by w nich tego rodzaju chorzy mogli pozostawać? Przywyknie, tam ją pewnie polubią, będzie miała względną swobodę jako łagodna, nieszkodliwa chora.

Stan. Żal mi jej.

Marta. Ale pomyśl ~~tylko~~, my to czynimy głównie ze względu na naszą córkę; byłoby strasznem, gdyby zarody tej choroby i do jej mózgu się dostały... Ach, nie, ja od siebie bezustannie podobne przypuszczenia odsuwam — ale ja chwilami tak się boję... Panie, pan nie uwierzy, jakie to dręczące męczące — nie chcę, żeby przeszło

na Karusię.
Obyw. Czy robi na nię jakie wrażenie
biedna chora?
Marta. Czy ja wiem? — tak bym chciała
— odpowiedzieć nie? — Ale ~~to~~ po-
dobno — umysłowe choroby — przechodzą
na różnych członków rodziny.
Stan. Marto, nie ~~bój~~ obawiaj się,
~~wypadek z Karusią jedy~~ wiem
tylko o jednym wypadku w naszej
rodzinie — to Karusia.
Marta. Ale ja się wszystkiego dla
Jadzi boję; twoja matka — ty wiesz
jaka była egzaltowana, — przeczulona.
... ty sam — Staszku, czasem ja
ciebie nie jestem w stanie zrozumieć
— czasem ~~są dnie~~, o ~~których~~ takie
inne mamy poglądy.
Obyw. O proszę Pani, to dobrze,
nie zawsze powinno się mądrzejszo

zgadzać się we wszystkiem. Często
prawdziwa harmonja powstaje dzięki
tym właśnie, ostrym, mozaicznym,
drobnym dysonansom.
Marta ~~Widzi pan, Staszek wielkiej~~
~~wydaje mi~~ Widzi pan, ja pochodzę
[ziemnej]
z rodziny ~~na wskroś praktycznej~~.
Mój ojciec pracował ~~całe życie~~ ciężko, do-
bił się wielkiego majątku, otoczył
rodzinę swoją dostatkiem, wygodą,
dał każdemu synowi majątek, cór-
kom dobre posagi — jednem słowem za-
bezpieczył nam całą przyszłość.
A przytem, był to człowiek niezmier-
nie rozsądny: nauczył jak rozpo-
rządzać ~~swojego dobrem~~ swoim dobrem, żyć ~~tak~~
~~aby~~ życie dobrze mieć z procentu
a nigdy nie ruszać kapitału. To
grunt panie nie ruszać leżącego,
procentującego kapitału, bo to.

zabezpieczenie całej przyszłości. Ja też jestem rozsądna i oszczędna panie, rozumnie oszczędna. Ubrać się umiem, dom prowadzę b. porządnie, — a mój

Stanisław: Nie bój się Marto, — wszystko stanie się po twojej woli; Karusia przecież wyjeżdża z domu na zawsze (po chwili) pójdę jednak poszukać jej, — nie lubię gdy tak jest sama lub na Wólce gdzieś w obcem miejscu. W którą stronę poszła?

Marta (wskazując ręką w głąb) Tam w głąb lasu. (Stanisław odchodzi)

Marta (po chwili milczenia). — Wyjedzie z domu, nie stanie jej, a jednak czy ja wiem — czy wszystkie ślady znikną po niej w Wólce! Panie, gdy się jest matką, to się wszystko

dzy, wszystkiego się boi.

Obyw. Pani dla ~~córki~~ dziecka swe-
go bała się wpływu obcej.

Marta O tak pani – bardzo.
Ta dziewczyna – stała się postrachem
moją zmorą; – Czułam, że gdzie ty-
ko przeszła pozostały po niej śla-
dy, że te ślady nie znikają, zosta-
tają się razem – tworzą jakieś
ognisko, które błyszczy, goreje –
od którego idą promienie – że się
to pali moja córka...

Obyw. Dziecko można wytłumaczyć,
że to choroba, ~~że to stan nienormalny~~
niezaraźliwa...

Marta Gdyby to tylko jedno!
Gdyby to była tylko choroba kaszl.
~~Otóż~~ Wszak pan wie, że dziewczyna
pozyczajmniej rodziców tego męż.

Obyw. Bardzo mało. Raz czytała

widziałem jego matkę.

Marta. Ta matka — jak dwie krople wody do Kamili podobna była. Nie rozumiałam tego jeszcze dawniej, gdy żyła matka. Teraz, gdy patrzę na rozwój córki, rozumiem, aż zanadto. Tamtej nie uznano wprawdzie za chorą, ale ja, co poznałam jej teorje, jej ~~egz~~ poglądy i egzaltacje — wiem wszystko. — Przecież to była żona, gospodyni, matka, miała swoje najświętsze, najbliższe obowiązki: jej nie zadawalniały one, ani ich wypełnienie; mówiła mi ~~wczoraj~~ kiedyś (pamiętam), jakbym ją teraz przed oczyma żywą widziała, że cały świat by przygarnęła do serca, — i rzeczywiście garnęła: dom był pełen krewnych, przybłędów, żebraków — ona świadczyła wszystkim, — a tymczasem

najbliższych swoich – córki nie strzegła przed zbliżającem się nieszczęściem – przed chorobą, która już była jednak wtedy zaawansowaną? ... o tak było, miała ją od lat najmłodszych.

Obyw. To bardzo prawdopodobne zwykle dzięki sprzyjającym ~~przyczyni~~ okolicznościom ~~rozwijają~~ wystąpią się objawy obłąkania, którego nie dostrzegało się przedtem

Marta. ~~Prawda p.~~ I pan tak mówi. Ja ~~tak~~ samo ~~mówiłam~~ zawsze myślałam ~~...~~ – ale ~~trudno~~ z przykrością mi ~~z nim~~ mówić o wszystkiem. – ~~Bo wstrze–~~ ~~jeszcze~~ wszyscy wiedzą o ~~tem~~ – ale matka ... o tej ~~nie~~ nie wspominam ~~o niej~~ ~~Zrozumie~~, oprócz nich ~~dwóch~~ ja ~~panie gorszy~~. A od niej nieszczęścia na rodzinę spłynęły.

O gdyby pan wszystko wiedział!
Mówią, że matki mają wzrok wieszczy,
że przenikają ~~najtajniejsze~~ głębie!
— Ja się tak nieraz boję — patrzeć dokoła
siebie, żeby nie zobaczyć wszystkiego.
— (po chwili) Matka — była nienormalna,
Córka — chora — ; ja się czasem tak
boję o syna, o mego męża, — a
potem i o moje własne dziecko
jedyne. Pan ~~nie~~ tego może nie pojmuje
~~jest w stanie~~. Ale ja ciągle, bezustannie
żyję wśród tego otoczenia, dotykam
go — nauczyłam się patrzeć na nie.
Czasem mnie lęk straszny ogarnia;
na myśl, że choroby podobne są dzie-
dziczne. Pan to zrozumie, ja mam
własne, ukochane dziecko, jabym
ją chciała widzieć najszczęśliwszem,
ja całe życie chcę nad szczęściem
jego pracować — i drżę, że mimo

~~mojąz walk~~, ~~mimo mojej~~ wszystkow
mimo mojej wiedzy nawet — z
ich winy — zrodzi się w mózgu
w sercu mego dziecka mięszan-
dzie... Jaka to straszna
straszna spuścizna... ~~ale~~

~~Ja~~ ~~Już~~

Obyw. Ależ te ~~panu~~ urzeczenia są
zbyt może. ~~Do~~ Czyż dziecko pani
koniecznie ~~musi~~ odziedziczać cechy — rodziny
ojca, — ono skupia w sobie ~~cały~~
także zalety charakteru pani i
pani własnej rodziny. Dzie-
dziczność z dwu stron spływa.
Marta Tak, to prawda, Jadzia
jest i do mnie podobna. I całą
pracą moją skierowuję do tego
aby, to podobieństwo wystąpiło
jaskrawsze, — aby moja córka wy-
rosła się na ~~wzór~~ własnej ...

jej rodziny – wtedy jej dobrze będzie.

Obyw.: Ja ojca pani znałem.

Marta: Znał go pan? – Jaki to był dzielny człowiek! gdyby żył jeszcze ~~Obyw.~~ on by mi dał radę we pilne, on by pokierował życiem i wychowaniem mego dziecka. | Panie, pan który znał mego ojca – wszak prawda, ocenić jesteś w stanie różnicę jaka zachodziła między nim a całą rodziną Wolskich? – Nas, dzieci swoje ojciec kierował na drogę, którą sam szedł przez życie całe, – mnie nawet odradzał moje małżeństwo, trochę wbrew jego woli dałam słowo Staszkowi; potem i ojciec się z tem zgodził. ~~To był człowiek, kto~~ On życie całe pracował nad zapewnieniem szczęścia swojej rodziny. Chowaliśmy się w atmosferze zdrowej, rozsądnej

wszyscy, dalecy od uniesień, skieru-
jąc nasze usiłowania ku praktycz-
cznemu życiu, bo ~~to~~ nas tylko bez-
ustannie otacza. Nauczył nas patrzeć na ~~wszystko~~
świat trzeźwo, — brać wszystko za
właściwą monetę, odrzucić marzenia
precz od siebie, — ~~bo z niemi przy-~~
~~chodzi niepokój i do serca wkradają~~
~~się~~ bo nie powinniśmy być pro-
stakami w życiu, a tylko robotnikami
panie, co sieją zboże i wiedzą, że
z tego zboża kłos wyrośnie, a w nim
ziarno. ~~Spokój~~ Rozsądek rozumny daje
spokój, a z nim i szczęście
w życiu. Tak nas uczył mój
ojciec, — ja — także jestem i moją
córkę chcę widzieć także — będzie
szczęśliwa. Ah i jabym była
szczęśliwa, gdyby nie — ich
mrzonki, co mi życie całe trują

.... ja moją córkę uchronić pragnę przed niemi. Niech ~~żyją~~, używają życia, cieszy się niem, radują, biorą z niego wszystko, co im przydać się może, — niech nie patrzą na obrazy smutne, ponure, niech ich nie dotka ~~niech ich ku sobie nie woła~~. — One te dwie, matka i córka wzywały ku sobie smutki wszelkie — to ~~jest było ich nieszczęście~~ stało się ich chorobą ich nieszczęściem!

Obyw. Pani swoją córkę — ustrzeże przed złem.

Matka Chcę ją widzieć szczęśliwą; ja sama nią nie jestem; z bliska nich żyję; — oni jakby ślady swoje zostawili już na mnie; ja też zawsze jestem w stanie [illegible] wszystko wysokim rozsądkiem często odczuwam w sobie zbolałą

~~Por~~ zaćmili mi życie troską.
(Dochodzi). – Panie, ale poco ja
to wszystko mówię tobie? to
ich występy mocą takie, umarza się
czasami, zamiast się rozpatrzeć ~~wśród~~
warunków wszystkich. – Ja
w lesie, w obcem miejscu, wy-
powiadam obcemu ordownikowi
największe moje troski. (Wy-
ciąga ku niemu rękę). Daruj mi
pan i ~~wytł~~ mię za wytłomaczenie
tyle lat patrzę na te wszystkie
smutne rzeczy.
Obyw. Pani szanowna, wszystko
coś mówiła rozumiem tak dobrze.
i tak odczuwam twoją troskę. Ale
się nie bój o dziecko. ~~Dobrafi~~ Odzy-
wają od niego zgubne przykłady
i pokierujesz dobrze jego życiem.
Przeczywiście pobyt chorej w domu

państwa - mógłby z czasem zgubnie oddziałać na wszystkich, trzeba ją było usunąć.

Marta. Pan mnie rozumie, prawda. Usunęłam ją, męża skłoniłam do tego. Czyż z jej wiecznym obłąkaniem mogłam być pewna jutra każdego? przyszłości mego dziecka? Ona nie rozumie prawie ~~Obyw.~~ ile złego wyrządzić jest w stanie, ~~Obyw.~~ a jej, wierz mi pan, wszędzie teraz będzie dobrze. Niekiedy, mimo obłąkania, ma na twarzy taki wyraz ~~spokoju~~ szczęścia, jakby jej życie po różach płynęło.

Obyw. Tak, mówili państwo, że miewa chwile przytomności, może wtedy ~~nie odczuwa~~ nie wiedząc nawet o ~~t~~ prawdziwym stanie swoim - czuje się szczęśliwa.

Marta. Nie, przeciwnie, wtedy ~~wśród swoich~~ wśród rodziny jest ona pełna melancholji i smutku,

w chwilach zaś największego szału – promienieje cała. Choroba odbiera jéj wszelką świadomość. Czasem, gdy o wzroście swoim monologuje patrzę na nią i ~~wydaje~~ czuję, że ona wierzy w to, że gdzieś pod stopy wzrasta. ~~Ot~~ ~~tymcza~~ Z tego się cieszy. – ~~Widzi~~ ~~pod~~ Poznawałam już tę psychologję obłąkanej. ~~W miarę~~ ~~prog~~ ~~choroby~~ Śmiałam się dawniéj z jéj szaleństwa, teraz staram się przed mężem i dzieckiem ośmieszyć ją, aby nie przeniknęli – co ja już poznałam, że w tej jéj ekstazie jest coś bardzo silnego, coś, co śmiech odbiera, coś, co otwiera oczy... ~~Ona~~ ~~mnie~~ Jak ona mnie męczy ta dziewczyna! Chora, obłąkana, nieszczęśliwa – przychodzi do mnie czasem i jakby ~~z~~ litościwie głaszcze po

włosach, po twarzy. A jednak wiem, że się mnie boi. Czuje, że ja wraz ~~ze~~ Stachem wpływ mamy stanowczy na jej życie. – Tam – w domu zdrowia, odgadnie, że to ja ją z Wólki usunęłam. ~~Tam~~ – W domu może być ~~ty~~ ona, albo ja. Jednej wpływ powinien przeważyć! Ja lub ona! A ja zostaję, bo chcę tego i dla siebie i dla dziecka........

~~Obyw.~~ ... Tak już długo pani o tem opowiadam, – głowa ~~mnie~~ mi płonie, nerwy grają we mnie, teraz skończy się już to nareszcie...

Obyw. Rzeczywiście i na pani ustrój nerwowy ~~źle~~ wpłynąć mogły te lata pobytu z chorą...

Marta Będę teraz zdrowa i szczęśliwa. ~~Stacha~~ Przed Stachem otworzę nowe światy. Wniosę mu w dom ~~rad~~ wesele rozrywki. Chciałabym – poznać na

wych ludzi, bawić się. I na pana,
Stość dalszego sąsiada, liczyć mogę,
prawda?

Obyw. Z przyjemnością największą.

Matka. O tak, tak. Po raz to pierw-
szy i ostatni w nerwowem takiem
byłam wobec pana podnieceniu. Rzadko
mi się to zdarza, teraz przerwie się,
gdy przyczyna zbiegu będzie usunięta.
Robię często projekty na przyszłość;
Chciałabym z mężem i dzieckiem
wyjechać kiedy na całą zimę na południe pod
wesołe niebo, w kraj słoneczny.
Jesteśmy jeszcze młodzi oboje, mąż
tak samo, – możemy używać życia
jego czasów. Ja samo to lubię bez
to mój żywioł prawdziwy. Trak-
tujemy – bo ty umie, ~~– [illegible]~~
już ~~przed~~ oczu – na życie patrzę
z ~~własnego~~ prawdziwego. punktu widzenia

(Za sceną słychać hałas wnoszą nosze, na kt. trup Kasi)

Marta Boże – co to?

Starszy Spadła – zabiła się

Marta Jak, gdzie?

St. ~~Po~~ ~~przystawionej drabinie weszła na drzewo~~ – Z drzewa spadła – z wysokiej dębiny.

Marta Pozwoliłeś na to, ciemnio nie pilnowałeś – kazałam ci nie odchodź

St. Czyż ja winien proszę pani, odbiegła odemnie panienka

Marta (Gdzie[2] mój mąż, gdzie pan? Boże co to będzie) Kasiuniu, może ona żyje jeszcze (podchodzi) ~~nie~~ zimna, sztywna. (Z

St. Pan – pan idzie pan nie..

Stanisław (staje koło trupa Kasi

Marta Staszku! biedna, biedna, nieszczęśliwe dziecko!

Stanisław. Zobacz Marto jaki ma wyraz szczęścia i spokoju na twarzy. Jej się wydało, że na wyżyny się wzbiła! Szczęśliwa!

Zasł. spada.

[illegible] Żołnierz [illegible] [illegible]
[illegible] [illegible] i [illegible] [illegible] [illegible]
[illegible] się [illegible], [illegible] [illegible] [illegible]
[illegible] [illegible].

[illegible]

[illegible]

[illegible]

[illegible]

Ona, nie, dość ma tego Paryża niepojętego, wymykającego się przed jej myślą, przed jej poznaniem. Mkną te tłumy niezliczone, przesuwające się przed nią, czy ona wie dokąd one idą, jaka im myśl mieszka w mózgu, uczucie w sercu? Obce dla niej twarze ich, czyny ich, wola ich. Myślała-ż pojmie wszystko, że ogarnie tę wielkość i potęgę, że wcieli się w nią, wżyje, zespoli. Myślała, że wszystkich ich

Więc pojechały nad to jasne, rozświetlone morze. Poranne słońce ~~tam~~ przetapiało ~~fale~~ wodę jego w białe srebrzyste fale, fale drobne, migotliwe rozsiewane na lazurowem niebie. Przy zachodzie krwawiła się czasem woda, odbijała w sobie zataczające się koło. I wtedy ~~smutny~~ smutny wiew przebiegał przestrzeń. Szedł od tej wody ~~nie~~ ~~końc~~ bez końca, ku ziemi płynął i aż w ludzkiem sercu echo znajdował. „To taka dziwna [illegible] rzekła raz p. Fedor. prawda, że smutno Helu". Prawda mamo. od niego smutek idzie, „od morza". „Chodźmy do domu rzekła panna Bronisia, Chłodno już, Hela zaziębić się gotowa.

~~Hela~~ Ale ~~do~~ na ~~Helę~~ kraj ten szczególnego ~~nie~~ czynił wrażenia. Był dla niej jak wszystkie kraje, jak ten kt. wychował ją — Ona tam tylko czuła wobec takie same wspomnienia i tęsknoty. W [illegible] zimy, wybiegała na białe pole, ~~z~~ rzucała z głowy okrycie i szukała wiatru, coby szedł na jej spotkanie jej ta przestrzeń mówiła, czegoś czekała od niej

a dusza moja pała żądzą służby ~~Tobie~~ Twojej
Gdzie te wznosiły się nad poziomy
spowite w tajemnicze szaty wiar swoich
w białe niwby dymów ofiarnych,
w chóry gorących modłów, opromienio-
ne blaskiem ~~płn~~ biegnącym ku niebu
z krwawej ofiary. Za samą krew, za
samą mękę dać pragnęły co mogły, mo-
gły siebie, ~~niosły ducha w wzloty swoje~~
~~najwyższe~~ i rozpiętemi skrzydłami
do wzlotów najwyższych w szczyty nieba
sięgały. Mroczne wieki, dni minione!
A ślady ich pozostały w tych kamiennych
~~w olbrzymach~~ domach ~~wzniesionych~~
przybytkach czci ich i wiary. Oto
stoją dziś jeszcze nienaruszone i świa-
dectwo dają prawdzie tamtej. Była,
przeszła, pozostały posady i pamiątki
jak owe muszle kryjące się w łonie
ziemi, co przed tysiącami lat postradały
żywych mieszkańców swoich — a do dni
naszych dochowały skorupę zewnętrzną.

~~9/XII 901. Kraków~~

Ark. I

1

97

Marcelina Kulikowska.

Najpewniejsza

Osoby: Karol ~~Przecławski~~

Ludwik

Kalikst

Stróż Jan

Stróżka

Babka kościelna

Ksiądz

Ludzie z przedsiębiorstwa pogrzebowego.

(Scena przedstawia skromnie umeblowany pokój studencki; kanapa pod ścianą, półka z książkami, liche biurko, szafa, na lewo ku środkowi sceny stół i parę krzeseł. W głębi drzwi na schody – na prawo do sypialni. Przez drzwi główne dwoje ludzi z zakładu pogrzebowego wnosi trumnę; – stróż domu ich prowadzi.)

Stróż (wskazując na drzwi sypialni): A tam leży nieboszczka.

(Ludzie idą we wskazanym kierunku.

Stróżka (wsuwa głowę przez drzwi wchodowe):

Janie, a przynieśli trumnę?

Stróż Właśnie przynieśli.

Stróżka (wchodząc) Bo tu czeka babka niby do ubierania nieboszczki. (zwraca się ku drzwiom) A no, chodźcie babko! (Wchodzi Babka) – stróżka wskazuje na drzwi sypialni) – to tam.

Babka A cóż ona matki nie ma?

(Ludzie co przynieśli trumnę wychodzą z ~~sypialni~~ głównymi drzwiami)

Stróżka Ona do brata, co tu mieszka, niby do tego akademika, przyjechała. Ze dwie niedziele pogościła, aż zmarło się biedactwu. Nie chorowała nawet długo, na dwa dni przed śmiercią zległa. Coś się jej podobno w sercu oberwało. Świeć panie nad jej duszę! Dobra musiała być niebogą. Bratu to przywiozła jedno i drugie z ubrania, żeby mu tu z

dwa razy uprzątnęła, a i mnie dziecińskom dała
raz garść jabłek. Ot przyszedł na mię koniec.
(słychać głos w pokoju na lewo)
__Ludwik__ (za sceną) Chodźmy, Karolu!
__Babka__ A ktoż tam jest?
__Stróż__ A jest brat i kolega brata też
akademik.
__Babka__ Niechbyście, pani Janowo, mnie pomogli,
zawsze we dnie trzeba do umycia, do
przyodziania sukienki...
__Stróżka__ A mogę, czemu nie? – dzieciska
w szkole, pójdę tylko garnek z obiadem do
ognia przystawię. Wnetki przyjdę. – Idźno
Jan na policję według meldunku tych nowych
z trzeciego piętra.
__Jan__ Idę, idę (wychodzą oboje)
(Babka wchodzi do pokoju na lewo; po
chwili wychodzą z niego Karol i Ludwik.
Karol siada na krześle przy stole.

Ludwik (stanąwszy przy nim, chwilę milczy)
— Karolu... (Karol drga)... możebyś ty ze mną wyszedł, co? — Chodź na miasto.
Karol (przecząco wstrząsa głową)
Ludwik Widzisz, możeby to lepiej było; — ~~Ot może my po matkę pójdziemy~~ — ruch, świeże powietrze, — inne wrażenia, — chodźmy!
Karol (przeczy głową).
Ludwik To może... Ot co, powinieneś wyjść zjeść, czy napić się. (ogląda się dokoła) — tu nic niema, od wczoraj wieczorem siedzisz...
Karol (jeszcze raz przeczy).
Ludwik (po chwili) — Nie? — A może papierosa? (podaje mu cygarnicę, Karol bierze papieros, pali obydwa)
Ludwik (po chwili) Cóż teraz będzie? Ja myślę, żeś powinien zmienić mieszkanie. Rzuć te. Przyznam ci się, że go

nigdy nie lubiłem. Nawet za wszystkie dla ciebie jednego: dwa pokoje, prawda, porządnie umeblowane – ale bo za drogo na studencką kieszeń. (po chwili) .. Wiesz! przyjeżdża Zdzarski; pisał ~~już~~ do kolegów, już zdrów.

Karol Zdrów?

Ludwik Zupełnie przyszedł do siebie.

Karol Żyje więc .. i zdrów.

Ludwik Naturalnie; przeszły mu już ślady zapalenia płuc. Cieszę się, że przyjedzie, już mi się ckniło ~~pr~~ bez niego.

Karol – Zdrów – dziwne!

Ludwik O nie takie dziwo! Nie jeden chorując – już umiera, – wyliże się i zdrów.

Karol Czy tak, czy tak umrze.

Ludwik No, no, Karol, otrząśnij się; – pójdź raczej, chodźmy, bodaj na kawę.

Karol Nie pójdę.

Ludwik Ha, szkoda (po chwili) – darmo tu

6

(podchodzi do okna, otwiera je na oścież, patrzy na ulicę. Wchodzi stróżka, spogląda chwilę na Karola, ociera oczy fartuchem, kręci głową, mówi cicho do Ludwika:

Stróżka: Ja tam pójdę nadle ubierania (wchodzi do sypialni. Ludwik zaczyna gwizdać zcicha, wchodzi Kalikst – podają sobie ręce, Kalikst idzie do Karola, bierze go za rękę.

Karol A, to ty.)

Kalikst Nie mogłem przyjść wcześniej, przed chwilą mnie stamtąd uwolnił.

Karol Z prosektorjum?

Kalikst Tak, mieliśmy robotę, egzaminy.

(Wchodzi sługa z przedsiębiorstwa pogrzebowego, niesie kir, niosą świece w wysokich świecznikach. Ludwik im wskazuje drzwi na prawo, wchodzą, po chwili wychodzą, niosąc jeszcze różne przedmioty.)

Ludwik (podchodzi do Kaliksta, bierze go na stronę): Weź no się ty, Kalikst do niego (wskazuje ręką na

Karola —) Jakiś mi się dziwny wydaje. Trudno — umarła siostra, — żal, — ale on ma jakieś złe myśli w głowie. Dwie noce nie śpi, nie je, wyjść nie chce stąd — bo, widzisz, nie dobrze. Może ty go tak na co namówisz.

Kalikst Spróbuję.

Ludwik (wyjmuje pugilares) muszę, jest tam coś pilnego, z przedsiębiorstwem trzeba będzie skończyć, księdza już zamówiłem, a prawda, jeszcze trumnie! dajmy papierek (wyjmuje banknot z pugilaresu) — muszę iść. Do — (Wychodzi.)

Kalikst (podchodzi do Karola) Karolu..., Karolku, możebyś ty ze mną tymczasem na miasto wyszedł?

Karol Nie, nie Kalikst, ty mnie nie męcz, — tamten już drugi dzień wciąż jedno powtarza, — choć nie słucham, — usłyszeć wreszcie muszę (ogląda się) — a, poszedł!

(Słudzy z przedsiębiorstwa pogrzeb. wychodzą

z sypialni, znikają przez drzwi główne).

Kalikst On miał słuszność; ty musisz myśl oderwać, — tak — nie dobrze...

Karol (milczy chwilę, — bierze gwałtownie Kaliksta za rękę): .. Kalikście, czemu, słyszysz, czemu?

Kalikst Co? Co?..

Karol Ta.. śmierć.. (milczenie) Czemu ta śmierć... jedna chwila... i nic. Pojąć nie mogę...

Kalikst. Toś ty ją tak kochał, biedaku! Nie wiedziałem nawet! (obejmuje go ramieniem).

Karol Jadzię kochałem? — Nie, — ja nie wiem, nie wiem, czym ją bardzo kochał; — ot — słuchaj .. Matka ją kochała, .. bardzo.., przyjedzie, zobaczy... tam... trupa! Zimny, martwy, obcy, — to ciało takie obce, takie od żywego inne! Ustami się śmieje, — a tym śmiechem woła — ona mówi: śmierć! — Kalikście, ty wiesz, że śmierć jest, — ty wiesz? — My wszyscy

jak ona, trupy, — martwice zimne — (po chwili uspokojonym głosem) Słuchaj, coś ty dziś widział w prosektorjum?

Kalikst No cóż, mieliśmy robotę: egzaminy praktyczne, preparaty...

Karol Krajaliście trupy, — takie ludzkie obojętne, ciche trupy?

Kalikst Karolu, z twemi nerwami źle; nie masz przypadkiem u siebie czegoś na uspokojenie?

Karol (gwałtownie) Ty mi nie mów! — Ja jeszcze żyję, ja jeszcze nie trup, ale będę! I ty będziesz ... wszyscy... wszyscy...

Kalikst. Co tobie Karol? Toż to zwykłe, codzienne.

Karol Zwykłe? Ja pierwszy raz odczułem? To ty czujesz? ty już wiesz?

Kalikst Co Karolu?

Karol Śmierć! — żywy jestem — a to stać się musi:
— Przyjdzie po mojem ciele, — co ono zrobi ze mną? — (wskazuje na sypialnię) Tamto!

Kalikst Powinieneś być rozsądny. Taki jesteś mło-
dy, zlituj się, życie przed tobą!
Karol A po życiu — śmierć! Dziś, czy za lat
dziesięć, czy pięćdziesiąt — przyjdzie! I na
ciebie przyjdzie, i na moją matkę przyjdzie!
Ja młody, tyś młody, — ona stara! — pomrzemy!
(Stróżka uchyla drzwi, wchodzi, bierze Kaliksta
na stronę)
Stróżka Panie, a nie miałby jakie pieniędzy?
Trzeba dla nieboszczki kupić jakie trzewiki, — to te
na nic, za małe (pokazuje zużyty bucik) — nogi
tak pobrzękły nieboszczce..., a choćby i rozpo-
jać trzewik — to i tak nie wejdzie.
Kalikst (daje jej pieniądze z pugilaresu, stróżka
wychodzi, Kalikst podchodzi do Karola)
Karol To samo z nią! (pokazuje ręką na
stróżkę), z jej dziećmi...
Kalikst Dajno pokój, ~~Karolu~~, trzeba starać się
zapanować nad sobą, — to nerwy!

__Karol__ Powtarzam ci, raz pierwszy poczułem śmierć! (zaczyna płakać, tuli się do Kaliksta)

Kaliksćie, poco, poco?

__Kalikst__ (głaszcze go po głowie) Dziecko, dziecko!

__Karol__ (zrywa się) Cóż, to nie dziecko mówi przezemnie, to mówi ten co widział i wie! Już wiem! — Coś ty czuł, gdy pierwszy raz dotknąłeś skalpelem trupa w prosektoryum?

__Kalikst__ Trochę z początku nieswojo, ale człowiek przywyka prędko.

__Karol__ Co ci on powiedział?

__Kalikst__ Kto?

__Karol__ Twój preparat, człowiek co żył kiedyś—aż zmarł!

__Kalikst__ Widzisz, ja przedtem byłem już na przyrodzie, przywykłem do dysekcji, to takie same mięśnie czy kości, jakakolwiek tkanka wreszcie.

__Karol__ To może ci tamte ciała mówiły?

Kalikst Mój drogi, każdy się oswaja ze swoim zawodem i nie widzi w nim wielu rzeczy, które ludzie obcy zdają się dostrzegać.

Karol Prawda... może..., może ty jeszcze nie wiesz nawet. Przecież ja śmierć już tyle razy dawniej widziałem, umarł mi ojciec, w roku zeszłym Władek — tylu już ich.... Co dzień spotykam na ulicach pogrzeby, tyle razy byłem na cmentarzach! — Alem ja nie wiedział, Nie ma ich, — pomarli, śmierć przyszła na nich, ot i wszystko. To takie proste, zwykłe każdy to wie. Jam tak samo wiedział — alem jej nie znał, — nie czuł jej, jam jej nie był pewny. — Teraz czuję, tak czuję — że na siebie patrzę jak na trupa. — Zamknij oczy Kalikście! Zamknij, wpatrz się w siebie! Prawda ty dziś myślisz, czujesz, ty gorąco kochasz, w tobie życie wre — ty masz wiele pragnień i nadziei ...... z tego wewnętrznego wrzenia

13 103

Ark. II

twego — nie będzie .. nic.

Kalikst Dajże raz pokój temu! Trudno — śmierć czeka wszystkich.

Karol .. Puste, zdawkowe zdanie... A co będzie, gdy przyjdzie?

Kalikst Nic.

Karol A czemu, czemu?

Kalikst A ty jak dziecko mówisz, wiesz przecie, prawo przyrody, konieczność.

Karol. Ach czytałem, czytałem, wiem; tego mi nie mów; — jakbyś treści nie pojmował za mej ...

Kalikst Pozwól, że rozumiem dobrze, mam z tem do czynienia codziennie. Siła niewytłómaczona, — zagadka, taka ~~sama~~ jak i życie samo.

Karol Nie, nie, .. nie o tem mówię .. (po chwili) Kalikście ty swoję Zosię kochasz?

Kalikst Cóż ~~oso~~ Zosia?

Karol. Ona — umrze. — Pokładeś, czemu po=

bladłaś, wiesz przecie o tem. — Będziecie mieli
dzieci — pomrą tam. Wszyscy twoi pomrą: mą
tka, ojciec, brat. — A prawda, wiedziałeś o tem,
aleś ty nie myślał, że Zosia, i oni, i ty, i ja —
jutro — dziś jeszcze może staniemy się __tem__!
(wskazuje rękę na pokój) Ty nie czujesz śmierci;
słuchaj, w tej chwili ja ją czuję, ja wiem, że
przyjdzie i mnie zostawi trupem. Tj. to
jest tem obcem, gnijącem ciałem, a to __ja__ prze
cież będę ja, co w tej chwili stoję przy tobie
i mówię ....

__Kalikst__ Więc cóż?

__Karol__ ... A właśnie ... wiem już ... będzie,
... wiem nawet jak będzie ...; to pospolite, to
zwykłe życia zjawisko. Ale ta chwila jedna w
której się to stanie ... ta jedna chwila ... ty
~~nie rozumiesz~~ to rozumiesz, ty to czujesz,
... jedna chwila ... ona już się zaczyna dla
mnie, bo ja pojmuję, że ku śmierci idę —

ja już trupa mego czuję w sobie....

Kalikst. Ha Boga! Toś ty zdrów, spojrzyj tylko na siebie: bary jak u tura, — toż ja znam ciebie nie oddziś, — żadnego zawodu choroby! Starości późnij dożyjesz.

Karol. Choćby i sta lat nawet — przyjdzie kres. Ja wiem. Ona (wskazuje rękę na pokój) nie wiedziała! W ciągu krótkiej choroby swojej układała plany na lat kilka; myślała tylko o życiu. A gdy przyszła chwila ostatnia — w jej oczach odbiło się takie zdziwienie straszne i bojaźń taka, — żem i ja w okamgnieniu ~~wyczytał~~ pojął wszystko. Zrozumiała w chwili śmierci dopiero. (milczenie)

Kalikst (chodzi chwilę po pokoju) Coś tę[illegible] do matki?

Karol (milczy). Matka widzi ją w dalekiej jakiejś przyszłości, w dobrej czy złej doli, ale żywą ją widzi. I mnie także! Gdybyż

ona czuła, że to przyjść musi? Ach, płód by zabiła w sobie — zamiast na świat wydała. Wydała na świat, wydała na śmierć! — Twoja matka tak samo! — I ty poczniesz dzieci — — na śmierć!

Kalikst Mój Karolu, to co mówisz — prawda, ale my już z tą prawdą żyjemy i z nią się zżyli~~śmy~~. Mimo takich sądów jak twoje życie idzie i pójdzie swoim torem, to także natury prawo.

Karol. I ty je ~~to~~ pojmujesz?

Kalikst Tak samo dobrze, jak i prawo śmierci. Życie istoty każdej płynie, aż dojdzie kresu. Jednostki giną — ~~żyje~~ zostaje gatunek.

Karol To pociecha? Ha, ha! Tyś nie widział, tyś nie pojął przerażenia w jej oczach, w jej twarzy, postaci całej! — Wyprężyła palce — — ot tak... widzę ją..., z jej szczęk zrobiły się jakieś przerażające, ostre kąty, w twarzy biel... ~~oczy na wierzch~~ powieki z oczu zeszły

17

Akt V.

a te oczy ~~zwężyły się~~ jak przepaść od strachu ciemne.... groza w nich, lęk, opór ... chęć...

Kalikst. Rozszerzone źrenice - to zwykły objaw jej choroby; lekarze to znają.

Karol. To nie był objaw choroby! ona - rozumiała wtedy. - Skupiła się potem w sobie i już cicha - poddała się.

Kalikst. Serce szybko przestało działać. Widziałeś sam - używaliśmy wszelkich sposobów - daremnie. Miała biedaczka kolosalną wadę serca, wcześniej czy później przyjść to musiało.

Karol (wybucha) Głupi jesteście!

Kalikst. Ależ Karolu, uspokój się, nie można dawać opanować się tak nerwom.

Karol Tak, tak, głupi, wy wszyscy głupi, i z nauką waszą, i z waszą medycyną, i z waszą filozofją. Głupi, głupi! Z pustego przelewacie w próżne - byle myśl zabić, byle jej w oczy nie patrzeć! - Jadzia miała nienormalne serce,

18

a ten mózg, a tamten wątrobę, a tamtemu belka głowę rozbiła, czy tyfus zabrał, czy dżuma!

— Ależ umrzeć musi każdy, <u>każdy</u> choćby najmocniejszy, choć o dwu sercach, choćby lat sto przeżył. Umrze. Zamierają pokolenia, rasy, narody, zamierają w długich wieku okresach, wszędzie: na biegunie czy pod równikiem, dalecy, bliscy, wszyscy! — Wy tylko pocieszać umiecie: tak być musi, ~~konieczność~~ prawo natury, ~~konieczność~~, — a gdy się na tę konieczność oczy otworzy — — to tak jak ją chwyci zgroza i strach i nieświadomość ~~jej samej~~ rozpaczna! — ... Kalikście, — ja wiem, ty mi dasz bromu, czy opium, nerwy mi się ukoją, pójdę do roboty — — ale ona — tak czy tak przyjdzie ... przyjdzie ... i ja się poddam ... muszę ... Ależ ja nie chcę! Ja nie chcę! — Ja jej się boję — nie za siebie jednego, ~~mniejsza~~ o mnie nawet — mnie tu — w mózgu — śmierć wszystkich

dręczy... stoi przedemną; — nie to, bym widział trupy, ja nie majaczę, nie bredzę, gorączki nie mam, — ale ja wiem, mózgiem wiem, ja czuję że przyjdzie, — że koniecznie przyjść musi i że rady nie ma żadnej... nikt nic przeciw niej nie może, Kalikst! — to męka... to szał..., twoja przyrada, twoja nauka głupie! głupie (szlocha)...

<u>Kalikst</u> (podaje mu szklankę wody)

<u>Jan</u> (wchodzi) A nie potrzeba tam czego?

<u>Kalikst</u> (idzie do stolika, pisze receptę, daje ją Janowi) Macie, przynieście z apteki; byle prędko)

<u>Jan</u> (wychodzi) Kalikst siada przy Karolu.

<u>Karol</u> (głosem przyciszonym) Mam lat dwadzieścia trzy. Dobrze mi było dotąd. Dzieckiem — kochali mnie, pieścili: ojciec, matka, — ona, starsza siostra. — Z domu oddali do

szkół — skończyłem, — teraz w uniwersytecie
jestem, ty wiesz, chciałem zdać egzaminy,
habilitować się, „rozpocząć" życie. Nigdym
nie myślał inaczej, tylko: tak będzie jutro,
za lat kilka, kiedyś! Tak będzie! to znaczy,
że ja na to patrzeć będę, że ja żyć będę!
Innym się stanę — ale będę. Zestarzeję, zgarbię
się — ale będę. ... Śmierć — wiedziałem, że przyj-
dzie — to, jak ty mówisz, jasne, proste,
— alem ja w swoją śmierć nie wierzył. Tak
jak ona — już chora, już w godzinę śmierci
prawie — o życiu mówiła — o przyszłości — ~~ale~~
swojej. A jej się dnie skończyły! I moje się
skończą. Wszystkim — tak samo! A rachują
przecież wszyscy na te dnie co przyjść
mają — a z nimi przychodzi śmierć. —
— Ja ci nie umiem powiedzieć nawet co czuję
teraz, gdy wiem. To nie żal, że życie przecho-
dzi, to nie tylko strach — ale to właśnie

zdziwienie bezmierne i zarazem pewność,
że się to stanie — i jeszcze to jest coś, czego
nie określę, a czego się już dowiem wtedy,
w największej mojej głębi — gdy ona przyjdzie...
(Stróż wnosi flaszkę z lekarstwem. Kalikst
odmierza z niej krople do szklanki; podaje
Karolowi. Stróż wychodzi).
Karol (bierze machinalnie szklankę i patrzy
na Kaliksta) ... i czemu, czemu?
Kalikst. Wypij proszę; — strach przed śmiercią
to ostatni wysiłek organizmu w walce o byt, to
ostatni błysk chęci utrzymania się jeszcze przy życiu
indywidualnem.
Karol. Czemu, czemu? Pytam ciebie, jak
siebie pytałem — choć wiem, że odpowiedzi nie
będzie. To co mi powiesz, to nauka, to nau-
kowe teorye, a one nic nie wyjaśnią, — i one
nic nie znaczą (pije lekarstwo) — Przyj-
dzie matka, biedna, biedna matka, pewnie

22

płakać będzie.

Kalikst. Staraj się stan twój nerwowy [opanować] bodaj dla niej.

Karol. I pocieszać ją, prawda? Nie, nie Kalikst, to co mówisz — wiem, że tak mówić trzeba, taki zwyczaj, taki już, — i tam (wskazuje na pokój sypialny) też zwyczaj ubierać ciało do trumny, — ale ja nawskroś twoje słowa, nawskroś te zwyczaje — widzę ~~tę~~ prawdę śmierci. — Gdybyś jak ja raz miał i czuł — nie mówiłbyś. (Po chwili) Tyś dla mnie zawsze był bardzo dobry, i ja w twoją naukę wierzę — aleś ty dziś ślepy, tylu ślepych!

Kalikst. Pomyśl Karolu, że gdyby wszyscy o śmierci ciągle myśleli — życie by wśród ludzi ustało, ustałaby czynność wszelka i dążenia, i cele...

Karol. A jednak ona najsilniejsza. ~~i nieomylna~~

~~Patrząc~~ na mię — ona to ta — co nie minie, to ta najpewniejsza! (milczenie).

Kalikst. Wiesz co Karolu, wyjdźmy, (patrzy na zegarek) chodźmy na kolej; zdążymy do pociągu, którym przyjedzie twoja matka. Trzeba się nią zająć, niech choć ciebie na wstępie zobaczy — zamiast się dowie wszystkiego.

Karol. Oszołomiłeś mi mózg opium, teraz dalej chcesz do życia sprowadzić.

Kalikst. Idziesz?

Karol. Dobrze.

(Wstaje, aby wyjść — stróż otwiera drzwi główne wchodzi ksiądz w żałobnych szatach, za nim kościelny, Ludwik z wieńcem w ręku.

Ksiądz. „Requiescat in pace."

Karol. Umarłym pokój — a my żywi żyjmy aż do chwili śmierci!

(Zasłona spada).

~~M. Kalikowska~~

Kraków — d. 9/XII 1901 r.

567

109

Akt I.

W lesie.

Osoby: Marta
Stanisław
Karusia
Szarski.

(Las liściasty — ku środkowi sceny polanka — w jej głębi parę ściętych pni, — bliżej dąb powalony na ziemię. — Z głębi nadchodzi Karusia, — w ręku trzyma koszyk, z którego przeglądają chleb, bułki; Karusia (idzie przed siebie, spostrzegłszy pień jeden ścięty — staje na nim, ręce obie wyciąga) — Wzniosłam się już — wzrosłam — więcej widzę —

Słodka Karusiu, biedaczko — szukam cię oddawna; z domu ~~wybiegłaś~~, wyszłaś, przebiegłaś pole, — to las — do domu daleko, ~~wró~~ chodź ze mną, zaprowadzę cię do domu

Marta (wchodzi z głębi lasu ze zdziwieniem) O patrz Staszka jest zguba nasza jak Kasusia!

(Kasusia odwraca się do niej)

Marta Szukaliśmy ciebie ja i Stach, — tak głęboko w las zaszłaś (spostrzega Szarskiego, patrzą na siebie chwilę) — — — nie... czy to być może, pan Szarski; tak to pan (do Stas). Staszku pan Szarski mój ~~dawny~~ dobry, dobry znajomy, serdeczny przyjaciel ~~nasz~~ mojej rodziny —

Szarski ~~Panna~~ Marta — dawna panna Marta

Marta Dziś pani Marta — mój mąż

Szarski: